



Oplata pocztowa opłacona ryczałtem.

NIEWINNOŚĆ
OJCA BROWNA



Nr. 524

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

REDAKTOR MARJAN KISTER

PRENUMERATA KWARTALNA (WRAZ
Z BIBLIOTEKĄ HISTORYCZNO-GEO-
GRAFICZNĄ)



ŻĄDAĆ WYŚLANIA SZCZEGÓLOWYCH
PROSPEKTÓW GRATIS

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”
WARSZAWA, ULICA KREDYTOWA Nr. 1.

KONTO P. K. O. 9880.

G. K. CHESTERTON 40050

levely

NIEWINNOŚĆ OJCA BROWNA

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA

Ziemilska

8-3

DOBRA KSIĄŻKA
DLA WSZYSTKICH
Wypożyczalnia
w Boernerowie

W A R S Z A W A — 1927

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R O J”

NIEBIESKI KRZYŻ

Okręt przybił do Harwich, oblany srebrnym światłem poranka i zielonemi odblaskami niezmiernej tafli morza i wyrzucił na ląd tłum, podobny do rojowiska much.

W tłumie znajdował się człowiek, którym się odtąd baczniej zajmiemy, mimo, że zgoła niczem nie zwracał na siebie uwagi; nie robił też wrażenia, jakby się o to starał. Poza lekkim kontrastem, jaki zachodził pomiędzy odświeżoną pogodą jego ubrania, a urzędową niejako powagą oblicza, nie było na nim nic szczególniejszego. Miał na sobie lekką, jasno popielatą marynarkę, białą kamizelkę i kapelusz ze srebrnej plecionej słomy, opasany błękitną wstążką, a na tem jasnym tle jeszcze smaglejszą wydawała się jego ciemna, pociągła twarz, zakończona małą hiszpańską bródką, domagającą się jakgdyby koronkowej kryzy z epoki Elżbiety.

Z powagą człowieka, który chwilowo nie ma nic do roboty, palił papierosa — pozatem nic w nim nie wprowadzało na domysł, że jasny surdut kryje

nabity rewolwer, kieszonka białej kamizelki legitymację policyjną, a zaś słomiany kapelusz przykrywa jedną z najtęższych głów w Europie.

Był to Valentin we własnej osobie, dusza policji paryskiej i najślawniejszy detektyw świata— a był właśnie w drodze z Brukseli do Londynu, aby dokonać najbardziej sensacyjnego aresztowania w tem stuleciu.

Flambeau był w Anglii.

Policja trzech państw była na ciągłym tropie tego niezrównanego przestępcy w drodze z Gandawy do Brukseli, a z Brukseli do Hook van Holland—w przypuszczeniu, że skorzysta on z zamętu i zamieszania, związanego z kongresem eucharystycznym, który właśnie rozpoczynał się w Londynie.

Przypuszczano, że Flambeau odbywa podróż w przebraniu jakiegoś podrzędnego urzędnika lub sekretarza spieszącego na kongres, ale oczywiście Valentin nie mógł być tego pewny.

Nikt nie mógł być pewny niczego — o ile Flambeau wchodził w grę.

Wiele lat upłynęło, odkąd ten genjusz przestępstwa przestał nagle zamać spokój całemu światu. A kiedy się to stało, nastał „błogi pokój na ziemi“ — tak, jak mawiano po śmierci Rolanda.

Ale w swych najlepszych (dla świata, oczywiście najgorszych) dniach był Flambeau postacią tak popularną, tak międzynarodową i w swoim rodzaju klasyczną — jak „Kaiser“. Prawie codziennie do

nosły gazety, w jaki to sposób udało mu się ponownie ujść następstw ostatniej zbrodni, przez spełnienie nowego, niezrównanego „kawału“.

Był Gaskończykiem olbrzymiej postawy i miły nieustraszonej. Najdziwsze anegdoty krążyły o wybuchach jego atletycznego humoru.

On to przecie — jak opowiadano — przewrócił sędziego śledczego nogami do góry i postawił na głowie, aby mu „ułatwić w niej myślenie“ — on, innym razem, przebiegł pędem ulice Rivoli, trzymając pod pachami dwóch tęgich policjantów.

Przyznać trzeba, że używał swej fantastycznej wprost siły dla celów bezkrwawych — nie mniej jednak kolidujących z kodeksem karnym.

Zasadniczy typ jego przestępstw stanowiły oszustwa i kradzieże, obmyślane i przeprowadzane genialnie i na wielką skalę. Każda prawie kradzież przedstawiała jednak nowy i oryginalny grzeszny pomysł, — dokoła którego rozsnuwały się odrazu tysiączne historie i anegdoty.

On to założył był przecie w Londynie wielkie „Tyrolskie Towarzystwo Gospodarstwa Mlecznego“ — bez krów, bez wozów, jedynie z kilkoma tysiącami abonentów, którym dostarczał mleka dzięki prostej operacji: pod drzwiami swoich odbiorców stawiał dzbanuszki, które zabierał z przed drzwi sąsiadów.

On to utrzymywał tajną korespondencję z pewną młodą damą, której pocztę przejmowano — a mianowicie w ten nadzwyczajny sposób, iż listy

swoje, odfotografowane w ogromnem pomniejszeniu posyłał jej na mikroskopijnych płytkach.

Większość jego eksperymentów cechowała jednak porywająca prostota. Opowiadano, że raz przemalował w nocy wszystkie numery pewnej ulicy tylko poto, aby pewnego podróżnego zwabić w zasadzkę. Wiadomo też, że to Flambeau właśnie poustawiał w spokojnych przedmieściach na rogach ulic swoje przenośne skrzynki pocztowe, w nadziei, że jakiś przejezdny wrzuci w nie list wartościowy.

Uchodził wreszcie za fenomenalnego akrobata. Pomimo wyjątkowego wzrostu umiał skakać, jak konik polny i jak małpa znikać w wierzchołkach drzew. To też nasz wielki Valentin wiedział dobrze, że przygody jego nie skończą się z chwilą schwytania przestępcy.

Jak go jednak odnaleźć? Plany Valentina były dopiero w załączku. Jednego znamienia Flambeau nie był w stanie ukryć, chociaż maskował się i przebierał z niezwykłą zręcznością — a mianowicie swego wzrostu. Gdyby bystry wzrok detektywa dojrzał był wysoką przekupkę jabłek, wysokiego grenadjera, choćby nawet dostatecznie wysoką księżniczkę — Valentin byłby ich aresztował bez namysłu. Ale w ciągu całej swej podróży nie spotkał nikogo, kto mógłby być przebraniem Flambeau — podobnie, jak kocię nie mogłoby być przebraną żyrafą. Podróżni na statku nie nasuwali w tym względzie żadnych wątpliwości. —

W Harwich i potem, w drodze do Londynu, spotkał ogółem pół tuzina osób — był między nimi podurzędnik kolejowy niskiego wzrostu, który jechał do końcowej stacji, trzech dość niskich przekupniów warzywa, którzy wsiedli w połowie drogi, jedna bardzo niska wdowa, jadąca z małego miasteczka w Essex i wreszcie również bardzo mały rzymsko-katolicki ksiądz z małej wioski tego samego hrabstwa. Ksiądz wogóle nie wchodził w grę. Valentin roześmiał się na samą myśl, że ktokolwiek mógłby skierować podejrzenie na księdza. Był to klasyczny typ ludzkiej ociężałości i tępoty, jaką się tak często spotyka we wschodniej prowincji angielskiej. Twarz miał puciołowatą, jak pączek wielkanocny, oczy zaś tak bezdenne i pozbawione wyrazu, jak północne morze. Nosił się z kilkoma pakuneczkami, owiniętymi w brązowy papier i w żaden sposób nie mógł ich pozbić do kupy.

Kongres eucharystyczny, owo wielkie skupisko ludzi, wydobył z martwych kryjówek prowincji, niby kretów z ziemi, wiele takich niezaradnych i ślepych istot.

Valentin był sceptykiem, ściśle w typie francuskim i nie mógł żywić sympatji dla księży — niemniej jednak był w stanie odczuwać dla nich, jako ludzi, współczucie, ten zasię ksiądz właśnie mógł je z pewnością wzbudzić w każdym człowieku. Miał przy sobie duży, podniszczony parasol, który mu ustawicznie spadał na podłogę, sam zaś

wyglądał, jakgdyby nawet nie wiedział, która jest prawa strona jego biletu powrotnego. Z cielecą prostotą tłumaczył każdemu w przedziale, że musi bardzo uważać, ponieważ w jednym z brunatnych pakunczków znajduje się coś z prawdziwego srebra „z niebieskimi kamieniami“.

Ta dziwna mieszanina głupoty godnej Essexu ze świętobliwą prostotą bawiła bezustannie Francuza, aż wreszcie ksiądz wraz ze swoimi pakunkami wysiadł przy Tottenham i za chwilę wrócił po swój parasol. Wtedy Valentin okazał nawet swoją dobrą naturę i przestrzegł księdza, aby trochę inaczej uważał na swój „srebrny kawałek“, a przynajmniej nie tak, iżby każdemu o nim rozpowiadał. Mimo wszystko, miał jednak Valentin bezustannie baczne oko na całe swe otoczenie, bez względu na to do kogo się z rozmową zwracał. Wypatrywał zarówno bogacza, jak biedaka, mężczyzny, czy kobiety — byleby tylko sięgał sześciu stóp wysokości, sześciu stóp conajmniej, bo Flambeau wystawał ponad tę miarę o cztery cale.

Valentin wysiadł przy Liverpoolstet w głębokim przekonaniu, że dotąd zbrodniarz mu się nie wymknął. Następnie udał się do głównej kwatery policyjnej, aby zgłosić swoje przybycie i umówić pomoc, na wypadek, gdyby zaszła tego potrzeba. Potem zapalił nowego papierosa i wybrał się na spacer przez ulice Londynu.

Nagle, kiedy przechodził przez ulice i place,

położone za stacją Victoria — zatrzymał się i przystanął.

Był to osobliwy, spokojny plac, typowo londyński, pełen przypadkowej ciszy. Wysokie kamienice dookoła robiły wrażenie dobrobytu, ale zarazem tchnęły pustką. Zielony skwer w pośrodku zdawał się być opuszczony, jak zielona wysepka na Oceanie Spokojnym.

Jeden z czterech boków placu był znacznie wyższy niż reszta i przypominał estradę. A linię tego boku przerywała jedna z owych zadziwiających przypadkowości Londynu — restauracja, która wyglądała, jakgdyby się tu była przybłąkała z dzielnicy ubogich. Był to obiekt niewytłumaczalnie przyciągający, ze skarłowaciałymi roślinami w doniczkach i storami w białe i cytrynowo-żółte paski.

Dom ten sterczał wysoko nad ulicą a do bramy prowadziło, na sposób angielski, parę schodków przypominających drabinkę ratunkową używaną podczas pożarów, która zwisa z pierwszego piętra.

Valentin przystanął i palił papierosa przed temi biało-żółtymi roletami.

Przypatrywał im się długo.

Najnieprawdopodobniejsze we wszystkich cudach jest to — że się one zdarzają. Kilka chmur na niebie zlewa się w zdumiewający kształt oka ludzkiego. Zdarza się, że podróżnemu, nie znającemu drogi, ukazuje się na tle widnokregu drze-

wo w dokładnej i skończonej formie znaku zapytania. W ciągu ostatnich kilku dni widziałem na własne oczy dwa te zjawiska.

Nelson umiera w chwili zwycięstwa, a człowiek nazwiskiem Williams zabija zupełnie przypadkowo człowieka nazwiskiem Williamson — brzmi to, jak coś w rodzaju dzieciobójstwa.

Istnieje — jednym słowem — w życiu jakiś element cudownych zbiegów okoliczności, niedostrzegalny dla tych wszystkich, którzy ściągają je do poziomu codziennych i powszednich wydarzeń i wypadków.

Wiedza — jak to świetnie powiada paradoks Poe'go — musi się liczyć z tem, co jest nieobliczalne.

Aristide Valentin był Francuzem ponad wszelką wątpliwość. Inteligencja Francuza jest inteligencją szczególną, jedyną. Nie jest to bynajmniej „myśląca maszyna“ — którym to terminem obdarcza ją płytki, modny fatalizm i materjalizm. Maszyna jest tylko dlatego maszyną, ponieważ nie może myśleć. Ale Valentin był człowiekiem myślącym, a zarazem prostym.

Wszystkie swoje nadzwyczajne sukcesy, które częstokroć wyglądały wprost na czary, zdobywał mozolną logiką i przejrzyście a prostym myśleniem — myśleniem francuskim.

Francuzi poruszają świat nie lansowaniem jakichś paradoksów, ale wprowadzeniem w czyn ogólnie znanych prawd, komunałów. A komuna-

łami swymi doprowadzają tak daleko — jak w Rewolucji francuskiej.

Ale właśnie dlatego, że Valentin znał rozum, znał także i granice rozumu. Tylko człowiek, który nie wie nic o rozumie, rozprawia o rozumowaniu bez podstawowych, nie dających się podać w wątpliwość zasad.

W tym wypadku brakło Valentin'owi tych podstawowych, silnych przesłanek. Flambeau'a w Harwich nie było, a jeżeli wogóle znajdował się w Londynie, mógł być wszyskciem — od wysokiego żebraka w Wimbledon Common począwszy, a skończywszy na wysokim kelnerze z hotelu Metropole.

W przypadkach takiej kompletnej niewiedzy miał jednak Valentin swój własny pogląd i metodę działania. Liczył właśnie na coś nieprzewidzianego. Kiedy nie mógł iść drogą logiki, ostrożnie i z całą trzeźwością przechodził na drogę nielogiczności.

Zamiast udać się w miejsca niejako samą sprawą wskazane — jak banki, miejsca zebrań itd., systematycznie obchodził miejsca całkiem niewłaściwe. Pukał do każdego pustego domu, przewracał każdy zakamarek, przechodził wzdłuż i wszerz każdą uliczkę zabarykadowaną śmietniskiem, obchodził szeregi zabudowań, które sprowadzały go niepotrzebnie z drogi.

Z całą logiką bronił tej szalonej metody. Mówił, że jest to najgorsza droga dla tego, który ma

klucz, ale dla tego, który go nie posiada, jest ona najlepszą, bo sprawia, że ta sama osobliwość, która ściąga na siebie wzrok ścigającego, potrafi również dobrze zwrócić na się uwagę ściganego.

Każdą rzecz musi się gdzieś rozpocząć — może więc byłoby czasem wskazane rozpocząć ją właśnie tam, gdzie inny byłby już dał za wygraną.

Coś z tych schodków prowadzących do lokalu, coś z tego spokoju i z osobliwości restauracji pobudziło niezwykłą, romantyczną fantazję detektywa i sprawiło, że postanowił działać na chybił-trafił.

Wszedł tedy po schodach na górę, zasiadł do stołu przy oknie i kazał sobie podać czarną kawę.

Dzień czynił się szybko coraz pełniejszy. Valentin ciągle jeszcze był przed śniadaniem. Na widok okruchów i resztek jedzenia, rozsypanych bezładnie po stolikach, przypomniał sobie, że jest głodny. Zamówił więc jeszcze jajecznicę i w zamyszeniu wsypał cukier do kawy. Myślał bezustannie o ściganym przez siebie Flambeau.

Przypomniał sobie, jak to raz uciekł był Flambeau przy pomocy nożyczek do paznokci, innym razem poprzez jakiś dom, który stał w płomieniach, raz dzięki okoliczności, że rzekomo musiał zapłacić karę za list nieofrankowany, to znowu dzięki temu, że odwrócił uwagę wszystkich, pokazując im przez teleskop kometa, która miała zniszczyć cały świat.

Valentin uważał swój mózg za równie dobry,

jak mózg zbrodniarza, co zresztą było zupełną prawdą, ale zdawał sobie także sprawę z tego, o ile rola jego jest trudniejsza.

„Zbrodniarz jest artystą twórczym — detektyw tylko krytykiem“, mówił sobie z kwaśnym uśmiechem i powolnym ruchem przytknął filiżankę z kawą do ust — ale czempredzej opuścił ją z powrotem w dół. Kawa była słona.

Spojrzał na podstawkę, z której pochodził ów biały, lśniący proszek. Była to niewątpliwie cukierniczka, tak — stanowczo naczynie, przeznaczone na cukier — niemniej, jak jest flaszka szampańska zasadniczo i wyłącznie przeznaczona na szampan.

Dziwiąc się, jej trochę niezwyklemu zastosowaniu w tym lokalu, począł się rozglądać za innymi podobnymi naczyniami i oto znalazł jeszcze dwie napełnione solniczki.

W przypuszczeniu, że solniczki zawierają jakąś specjalną przyprawę, skosztował trochę z ich zawartości — i znalazł cukier. Ze wzmożonym zainteresowaniem na twarzy rozejrzał się po lokalu, aby się przekonać, czy nie istnieją jeszcze inne objawy tego osobliwego smaku artystycznego, który każe wsypywać cukier do solniczek, a do cukierniczek sól. Ale pozatem, że część biało tapetowanej ściany była obryzgana jakowymś ciemnym płynem, robiła reszta lokalu wrażenie schludne, pogodne i bynajmniej nie niezwykle.

Zadzwoił na kelnera.

Kiedy ta urzędowa figura nadbiegła rozczochrana i z zaspanym wzrokiem — pora była jeszcze dość wczesna — poprosił go detektyw, (który posiadał wiele zrozumienia dla prostszych form humoru), aby skosztował nieco cukru i przekonał się, czy cukier dorasta do reputacji hotelu.

Kelner nagle ziewnął i oprzytomniał.

„Czy wy sobie codziennie tak delikatnie żartujecie ze swoich gości? I czy ta zamiana cukru na sól wydaje się wam tak dowcipna?“

Kiedy kelner zrozumiał ironję, wyjąkał zmieszany, że przedsiębiorstwo bynajmniej nie ma podobnych zamiarów i że musiała chyba zajść jakaś nader ciekawa omyłka.

W miarę, jak brał do rąk naprzemian cukierniczki i solniczki, zaczynał się mieszać na twarzy coraz bardziej. W końcu usprawiedliwiając się, wybiegł nagle ze sali i w parę sekund później powrócił z właścicielem.

Właściciel zbadał także solniczki i cukierniczki, i także się zmieszał.

Wtem zdało się, że kelner znajduje klucz do rozwiązania zagadki. Z nadmiaru soniających się słów z trudem tylko udało mu się wyksztusić:

„Tak mi się wodzi, że to ci dwaj księża!“

„Jacy dwaj księża?“

„Ci dwaj“ — odparł kelner — „którzy ścianę obryzgli zupą“ —

„Ścianę obryzgli zupą?“ — powtórzył Valen-

tin przekonany, że to musi być jakaś szczególna włoska metafora.

„Tak, tak, doprawdy!“ — mówił kelner podniecony a wskazując ciemną plamę na białej tapecie dodał: „Oni to wylali ją tam — na ścianę!“.

Valentin skierował z kolei pytanie do właściciela, który przyszedł kelnerowi w pomoc z bardziej szczegółowym sprawozdaniem.

„Tak jest“ — mówił. — „Zupełna prawda — jakkolwiek nie uważam, aby to miało coś wspólnego ze solą i cukrem.

Otóż całkiem wczesnym rankiem, ledwie tylko podniesiono rolety, weszło do restauracji dwóch księży i zamówiło zupę. Obaj wyglądali na ludzi bardzo spokojnych i godnych; jeden z nich zapłacił rachunek i wyszedł, drugi — zdaje się powolniejszy, — zabawił parę minut dłużej, dopóki nie zabrał swoich manatek. Ale wreszcie i on wyszedł. W chwili jednak, w której zmierzał ku drzwiom, z całą rozmyślnością chwycił filiżankę, którą był wypił tylko do połowy i plusk! — oblał jej zawartością ścianę. Zarówno ja, jak i mój kelner, znajdowaliśmy się wtedy w tylnym pokoju, tak, że skoro zdążyliśmy wpaść do sali, zastaliśmy już tylko ochlapaną ścianę, a lokal pusty!

Nie poniosłem wprawdzie wielkiej szkody — ale cóż to za niesłychana bezczelność!!

Próbowałem jeszcze przychwycić tych ludzi na ulicy, ale byli już za daleko — tyle tylko mo-

głem dostrzec, że skręcili za pierwszym rogiem domu w ulicę Carstairs!

Detektyw był już na nogach w kapeluszu i z laską w rękę.

Już dawno był sobie postanowił, że w najzupełniejszych ciemnościach swego umysłu może iść tylko za pierwszym lepszym wskaźnikiem, który by ukazywał mu coś osobliwego. A to wszystko było przecie dość osobliwe!

Zapłaciwszy tedy rachunek i zatrzasnąwszy za sobą oszklone drzwi, skręcał już wkrótce w boczna uliczkę.

Na szczęście — nawet w podobnie gorączkowych momentach zachowywał Valentin spokój, a działał szybko.

Coś, niby błysk jeden mignęło mu w oczach przed jakimś sklepem i Valentin zawrócił na owo miejsce.

Była to najzwyklejsza owocarnia i sklep z jarzynami, w którym całe rzędy towarów były wystawione na dworze i opatrzone w zwykłe kartki z ceną i gatunkiem towaru. W dwóch grupkach, rzucających się najsilniej w oczy, znajdowały się dwa stosy pomarańcz i orzechów.

Na stosie orzechów widniał na tabliczce zamaszty napis niebieską kredką: „Najlepsze pomarańcze tangerskie — dwie za pensa“. Na pomarańczach zaś znajdował się równie wyraźny i ścisły napis: „Orzechy brazylijskie najdelikatniejszej sorty — funt 4 pensy“.

Valentin spojrział na te dwa skrawki tektury i zdawało mu się, że widział już przedtem i to bardzo niedawno podobnie subtelną formę dowcipu.

Zwrócił na nieścisłość w wystawie uwagę owocarza, który czerwony na twarzy, patrzył gniewnie w górę i w dół ulicy. Owocarz nie odpowiedział nic, tylko z ostrą miną przestawił kartki na właściwe miejsca.

Detektyw, który oparł się lekko o laseczkę i nie przestawał przyglądać się wystawie, przemówił wreszcie:

„Łaskawy panie, proszę mi wybaczyć moje pozorne natręctwo, ale chciałbym panu zadać jedno pytanie z dziedziny psychologii doświadczalnej i kojarzenia pojęć“.

Owocarz ciągle jeszcze czerwony, jak indyk, zmierzył go groźnem okiem, ale on mówił dalej wesoło, wywijając laseczką:

„Z jakiej racji są w pańskiej owocarni dwie tabliczki umieszczone na fałszywym miejscu, podobnie jak dwie sutanny — ni stąd, ni zowąd — w Londynie, w dzień świąteczny? Albo, jeżeli wyrażam się niejasno — co znaczy to mistyczne kojarzenie, które łączy wyobrażenie orzechów, przewanych pomarańczami, z wyobrażeniem dwóch księży, jednego wysokiego a drugiego niskiego?“.

„Oczy kupca wystąpiły na wierzch jak u ślimaka — przez chwilę wyglądał, jakby chciał rzucić

cić się na obcego gościa. W końcu wybuchnął gniewnie:

„Nie wiem, czy pan ma coś z nimi wspólnego, ale jeżeli pan jest ich przyjacielem, może im pan powiedzieć ode mnie, że jeżeli mi jeszcze raz rozsypią jabłka na ulicę — rozwalę im ich głupie czepy, bez względu na to, czy są księżmi, czy nie!“.

„Czy doprawdy rozsypali panu jabłka?“ — spytał detektyw z wielkiem współczuciem.

„Jeden z nich rozrzucił je na szerokość ulicy“ — odparł zirytowany sklepikarz — „Byłbym schwytał tego nicponia — cóż, kiedy musiałem pozbierać jabłka!“.

— „W którą stronę udali się księża?“ — spytał Valentin a gdy usłyszał, że poszli w górę drugiej przecznicy po lewej ręce, a potem minęły plac, Valentin podziękował — i znikł, jak w bajce.

Na przeciwległym chodniku następnego placu ujrzał policjanta, do którego zwrócił się z zapytaniem:

„Panie! Ważna sprawa! Czy nie widział pan tu dwóch księży w sutannach?“

„Tak, panie“ — odrzekł policjant — „i tyle mogę panu powiedzieć, że jeden z nich był pijany i przystanął na środku ulicy, a to zaniepokoiło tamtego...“

„Którędy poszli?“ — przerwał mu Valentin.

„Tam oto wsiedli do jednego z żółtych omnibusów, które idą do Hampstead“.

Na te słowa wydobył Valentin swoją legitymację i szybko rzucił rozkaz:

„Przywołaj dwóch ludzi, aby mi pomogli w pościgu!“ — i przeszedł ulicą z tak zaraźliwą energją, że ociężały policjant odrazu został zmuszony do ruchliwego niemal posłuszeństwa.

W półtorej minut później znalazł się francuski detektyw w towarzystwie inspektora i jednego człowieka w cywilnem ubraniu, który przeciwnym chodnikiem szedł z nimi w jednym rzędzie.

„A zatem — łaskawy panie“ — odezwał się pierwszy inspektor z miną uśmiechniętą, a powagą w głosie — „cóż takiego mogło — — — ?“

Valentin przerwał mu, podnosząc nagle laskę w górę.

„Powiem panu, gdy będziemy już na piętrze tego oto omnibusu“ — i mówiąc to, zaczął się przeciskać przez zawrotny ruch uliczny. A kiedy wszyscy trzej opadli dysząc, na ławkę żółtego wozu, zauważył inspektor:

„Właściwie moglibyśmy samochodem jechać cztery razy szybciej“.

„Całkiem słusznie“ — odparł spokojnie ich przewodnik — „gdybyśmy tylko wiedzieli, dokąd zdążamy!“.

„Dokądże więc jedziemy?“ — spytał tamten zdumiony.

Przez parę sekund Valentin marszcząc brwi, palił papierosa. Wkońcu, strzepując popiół rzekł:

„Wtedy, kiedy wiemy, co człowiek czyni —

musimy go uprzedzać, ale jeżeli chcemy, odgadnąć to, co on robi, wtedy musimy iść za nim i śledzić go od tyłu — musimy błędzić, gdy on błędzi, przystawać, gdy on przystaje, odbywać podróż tak powoli, jak on. Wtedy dopiero możemy ujrzeć to, co on ujrział i działać, jak on działał. Otóż jedynie możliwą dla nas rzeczą jest mieć obecnie baczne oko na coś niezwykłego“.

„Jakiego rodzaju niezwykłość ma pan na myśli?“ — spytał inspektor.

„Jakakolwiek“ — odparł Valentin i popadł w uporczywe milczenie.

Tymczasem żółty omnibus przewijał się przez północne ulice — jak się wydawało — godzinami, bez końca.

Wielki detektyw nie zdawał się być skłonny do dalszych wyjaśnień, a jego asystenci odczuwali może w owym milczeniu rosnące powątpiewanie w skuteczność planu. A może odczuwali także rosnący w milczeniu głód, bo godziny wlokły się i minęły już dawno porę obiadową, a długie ulice północnego przedmieścia Londynu zdawały się wystrzeliwać coraz dłużej i dłużej, jak jakiś piekielny teleskop.

Była to jedna z tych podróży, w której człowiek ustawicznie ma wrażenie, że teraz oto wreszcie dotarł do krańca świata, a potem robi odkrycie, że dotarł tylko do początku parku Tufnell.

Londyn zanikał w pośród brudnych, poszarpanych tawern i ponurych skwerów, a potem wy-

łaniał się zniecka z olśniewających, wyniosłych ulic i gwarnych hotelów.

Miało się wrażenie, że się mija trzynaście pospolitych miasteczek przylegających do siebie.

Ale jakkolwiek wczesny mrok jesienny roztaczał się już przed ich oczyma, jednak paryski detektyw siedział w skupieniu i milczący i bacznie śledził front ulic, które migotały przed nim po obu stronach. Kiedy byli już za Camden-Town, policjanci prawie drzemali. Nagle zerwali się z przerażeniem, kiedy Valentin prostując się dotknął ich ramienia i kazał motorowemu wóz za-trzymać.

Inspektor i policjant zeskoczyli ze schodków na ulicę, nie zdając sobie zupełnie sprawy, dlaczego kazano im wysiąść. Kiedy dla wyjaśnienia sytuacji rozglądnęli się dokoła, ujrzeni, jak Valentin z triumfem wskazywał palcem w okno po lewej stronie drogi.

Było to duże okno, które stanowiło część długiej fasady hotelu, przypominającego pałac i zdobnego w zlocenia. Była to elegantsza część lokalu przeznaczona dla lepszych gości, na niej zaś widniał napis „Restauracja“.

Okno to, jak i wszystkie inne wzdłuż całego frontu hotelu, było z matowego szkła i miało witrażowe szyby. W samym jego środku znajdowała się ogromna rysa, jak tafla lodu spękana w kształt gwiazdy.

„Mamy wreszcie!“ — zawołał Valentin, wymachując laseczką — „Miejsce za zbitą szybą!“.

„Jaka szyba? Co za klucz?“ — spytał pierwszy pomocnik — „Gdzież dowód, że to ma coś wspólnego z nimi?“.

Valentin zniecierpliwiony omal nie złamał w rękę trzciny laseczki.

Dowód?! Wielki Boże! I ten człowiek szuka dowodu! Ależ naturalnie — szanse są, jak dwadzieścia do jednego, że ta szyba nie ma nic a nic wspólnego z nimi! Ale cóż mamy lepszego do roboty? Czy pan nie widzi, że jeżeli nie będziemy śledzili pierwszej lepszej dzikiej możliwości, nie pozostanie nam nic innego, jak wrócić do domu i położyć się spać?!

To mówiąc, pchnął drzwi wiodące do restauracji. Tamci poszli za nim i po chwili siedzieli wszyscy przy małym stoliku i spożywali spóźniony obiad, spoglądając teraz od wewnątrz na gwiazdę pękniętego szkła, co im jednak bynajmniej nie rozjaśniło sytuacji.

Stłukła się wam szyba, prawda? — spytał Valentin, płacąc.

— Tak, panie — odrzekł kelner, schylając się nad rachunkiem, do którego Valentin dodał w milczeniu ogromny napiwek. Kelner wyprostował się z łagodnym, acz niewątpliwym ożywieniem.

— Tak, panie — rzekł — stała się dziwna rzecz!

— Cóż takiego? — pytał detektyw, niby z niedbałym zaciekawieniem.

— Weszło do lokalu — opowiadał kelner —

dwóch czarno ubranych jegomościów, coś w rodzaju tych proboszczów z zagranicy, których się teraz tu i ówdzie spotyka. Zjedli spokojnie skromny obiad, potem jeden z nich zapłacił rachunek i wyszedł. W chwili, kiedy drugi także właśnie wychodził, spojrzałem jeszcze raz na otrzymane pieniądze i zauważyłem, że dali mi trzy razy więcej, niż mi się należało. Proszę księdza — mówię do niego — ksiądz mi za dużo zapłacił.

„Czyżby tak?“ — spytał tamten obojętnie.

„Tak jest“ — mówię i wydobywam rachunek, aby mu go pokazać. Tu dopiero omal nie zbaraniałem ze zdziwienia!

„Cóż się takiego stało? — przerwał kelnerowi detektyw.

„Oto — na siedem biblij byłbym przysiągł, że podałem w rachunku cztery szylingi. Tymczasem patrzę — a tu widzę czarno na białem napisane: czternaście szylingów!“

„Cóż dalej?“ — pytał Valentin podnosząc się z krzesła napozór niedbale, ale z płonącymi oczyma.

„Proboszcz w drzwiach mówi do mnie najspokojniej w świecie:

„Żałuję mocno, że wywołałem takie zamieszanie w pańskich rachunkach, ale pokryje sobie pan tą różnicą kosztu szyby“.

„Jakiej szyby?“ — pytam.

„Tej, którą właśnie mam zamiar stłuc“ — i mówiąc to, rozbija tę przeklętą szybę parasolem.

Wszyscy trzej słuchacze wydali okrzyk zdziwienia, inspektor zaś dodał z zapartym tchem:

„Czyż ścigamy warjatów, którzy umknęli z zakładu?“

Tymczasem kelner ciągnął dalej, z pewnem jakby upodobaniem dla tej dziwacznej historii:

„W pierwszej chwili tak zgłupiałem, że nie wiedziałem wprost, co zrobić! Tymczasem ksiądz wyszedł z restauracji, dobiegł swego towarzysza na zakręcie ulicy, a potem już razem przeszli Bullock-street tak prędko, że nie mogłem ich dogonić, jakkolwiek biegłem za nimi, jak koń wyścigowy!“

„Bullock-street“ — powtórzył detektyw i pognął w tę stronę w takim pędzie, w jakim ją przebiegła ta niezwykła para ludzi, których ścigał.

Droga prowadziła wpośród domów ze surowej cegły — podobna do tunelu. Ulice prawie bez światła i bez okien, zdawały się być złożone z samych nagich oficyn i zakamarków, pozoszonych zewsząd w to jedno miejsce.

Zapadł mrok i nawet dla londyńskiego policjanta nie było rzeczą łatwą odgadnąć dokładny kierunek drogi.

Mimo to inspektor był prawie pewny, że wkońcu dotrą do jakiejś części błoni Hampstead.

Wtem jedno rzucające się w oczy, gazem oświetlone okno przebiło szary półmrok ulicy, ni-by złodziejska latarka. Valentin przystanął na chwilę przed małą, wesołą cukierenką i po chwili wahania wszedł do wnętrza.

Zachowując pełną powagę, stanął pomiędzy kolorową pstrokacizną konfektów i ze szczególną starannością wybrał trzynaście czekoladowych cygar. Starał się widocznie nawiązać rozmowę, ale przygotowania jego okazały się zbyteczne.

Kanciasta, podstarzała panna sklepowa spojrzała na jego elegancką postać jedynie z automatyczną ciekawością, ale kiedy dostrzegła w progu błękitne uniformy policjantów, wzrok jej nagle się ożywił.

„Ach! — rzekła — panowie przyszłście może po ten pakiecik? Ja go już odesłałam“.

„Pakiecik?“ — powtórzył Valentin pytająco.

„Tak jest, ten mały pakunek, który zostawił tutaj ów pan — ów ksiądz“.

„Na Boga! — zawołał Valenin i nachylił się gwałtownie wprzód, okazując po raz pierwszy swoje prawdziwe zainteresowanie — na Boga! Proszę nam opowiedzieć dokładnie, jak się wszystko stało!“

„Owszem — odpowiedziała z lekkim wahaniem sklepowa. — Przed niespełną pół godziną weszli tu dwaj księża, kupili trochę miętowych cukierków, rozmawiali przez chwilę, a potem poszli w kierunku błoni Hampstead. Ale już w parę sekund przybiegł jeden z nich zpowrotem i zapytał, czy nie zostawił był tutaj małego pakunczku? — Przeszukałam cały sklep, ale nic takiego nie znalazłam. Wobec tego powiedział ksiądz: nic nie szkodzi, w razie, gdyby się pakie-

cik znalazł później, proszę go odesłać pod tym adresem — to mówiąc, zostawił mi adres i szyling za fatygę. I rzeczywiście, w chwilę potem odnalazłam pakunek w brązowym papierze, chociaż byłam najzupełniej pewna, że przedtem przesukałam wszystkie kąty — odesłałam zgubę pod wskazany adres. Nie mogę sobie tego adresu przypomnieć — było to gdzieś w Westminster. Myślałam, że to jakaś ważna rzecz i że może dla tego przysłała teraz policja?

„Poto przyszedliśmy — rzekł zwięźle Valentin — Czy błonia Hampstead są daleko stąd?

„Piętnaście minut — odrzekła. — Proszę iść prosto a wyjdzie pan na pole“.

Valentin wypadł ze sklepu i pognał przed siebie — za nim pocwałowali jego towarzysze.

Ulica, którą biegli, była wąska i pogrążona w mroku, tak, że kiedy wypadli nagle na otwartą przestrzeń, pod szerokie niebo — ogarnęło ich zdumienie na widok, że wieczór jest jeszcze tak jasny i wczesny.

Doskonała wieża pawiej zieleni rzechodziła w szczerze złoto pomiędzy czerniejącemi konturami drzew, a ciemnym fioletem oddali. Odcień płonącej zieleni był dość głęboki, iżby się na niej kryształowemi punktami zaznaczyć mogły jedne czy dwie gwiazdy. Złoty połysk leżał na całym tym, opuszczonym przez światło dzienne zakątku Hampsteadu, aż po ową poularną kotlinkę, zwaną Doliną Zdrowia, Wycieczkowcy, którzy zazwy-

czaj odwiedzają tę okolicę, nie byli się jeszcze do cna rozprószyli. Kilka par siedziało na ławkach, mając niewyraźnie w mroku. Stąd i znową dochodził jeszcze daleki pisk dziewcząt na huśtawkach. Głorja nieba ciemniała i rosła ponad podniosłą popolitością człowieka.

W dali, w pośród czarnych, ruchliwych grup rysowała się jedna, szczególnie czarna, zupełnie nieruchoma. Grupę tę tworzyły dwie postacie w stroju duchownym.

Jakkolwiek z odległości obie wydawały się małe, jak muchy, mimo to mógł Valentin zauważyć, że jedna była dużo mniejsza od drugiej i że ta druga sylwetka, choć była zgarbiona, jak student i niczem szczególnie nie zwracała uwagi, sięgała wzrostem ponad sześć stóp.

Valentin zacisnął zęby i ruszył naprzód, wymachując niecierpliwie laską.

Po jakimś czasie, kiedy odległość zmniejszyła się znacznie, a obie czarne sylwetki potężniały, jak pod ogromnym mikroskopem, dojrzał jeszcze coś — coś, co go zdumiało, czego jednak, no, przecież jakoś oczekiwał.

Bez względu na to, kim mógł być ów wysoki ksiądz — to pewna, że nie mogło być najmniejszej wątpliwości, co do identyczności małego.

Był nim towarzysz podróży Valentin'a z pociągu na linji Harwich-Londyn. Ów przysadkowaty, malutki curé z Essex, którego przestrzegł, aby uważał na swoje pakuneczki.

W tej chwili, tak jak się sprawa miała — układało się wszystko doskonale w dość logiczny związek.

Valentin, dzięki swoim dociekaniom wzbudził jeszcze rano, że niejaki ksiądz Brown z Essex'u wiozł ze sobą srebrny krzyż z szafirami, bardzo cenną relikwię na pokaz księżom przybyłym z zagranicy na kongres.

Niewątpliwie było to właśnie owo „srebro z niebieskimi kamieniami“, a Ojciec Brown był bezwątpienia tym niedołącznym, naiwnym człowiekiem z pociągu.

Otóż nie było nic dziwnego w tem, że to, co Valentin odkrył, odkrył także i Flambeau. Wszak Flambeau odkrywał wszystko. Nie było również nic dziwnego w tem, że skoro Flambeau dowiedział się o krzyżu z szafirami — postanowił go ukraść.

To była chyba najnaturalniejsza rzecz w całej historii naturalnej.

I to bynajmniej nie mogło dziwić, że Flambeau potrafił wyprowadzić w pole tę baranią głowę, tego człowieka z parasolem i bronzowymi pałkami, człowieka, którego każdy zdołałby zawieść na linowce aż do bieguna północnego. Nie dziw tedy, że taki aktor, jakim był Flambeau, potrafił — będąc sam w przebraniu księdza — zaprowadzić go do Hampstead-Heath.

Dotąd zbrodnia wydawała się jasną.

Detektyw litował się nad niezaradnością księ-

dza, z drugiej znowu strony pogardzał Flambeau'em za to, że upatrzył sobie tak łatwowierną ofiarę, ale kiedy powracał myślą do tego, co zaśzło w międzyczasie i co umożliwiło jego sukces—łamał sobie głowę, jakby to wszystko przyczynowo powiązać!

Co miała wspólnego kradzież krzyża srebrnego księdzu — z obryzgiwaniem ściany zębą? Przekazywanie orzechów pomarańczami — z płaceniem zgóry za szyby, które się potem tłucze?

Valentin dotarł do kresu swego pościgu — jednakowoż w samym środku łańcucha logicznych konieczności wiele mu brakowało.

Zazwyczaj kiedy błdził, co mu się zresztą zdarzało rzadko, miewał klucz, ale gubił zbrodniarza.

Teraz zbrodniarza miał w ręku, ale klucza nie miał.

Obie postacie, które śledzili oczyma, wlokły się jak dwie czarne muchy poprzez ogromne, zielone kontury pagórka. Najwidoczniej były postrążone w rozmowie; nie myślały może nad tem, dokąd idą. To pewna, że zdążyły niezmiennie ku bardziej dzikim i odosobnionym pochyłościom błoni.

Ścigający, w miarę, jak ich doganiali, musieli przybierać niewygodne postawy strzelców, tropiących zwierzynę, przykucać za pniakami drzew, a nawet czołgać się na czworakach w głębokiej trawie.

Dzięki tej, dość zresztą pospolitej pomysłowości, znaleźli się łowcy tak blisko swojej zwierzyny, że mogli dosłyszeć szmer rozmowy, chociaż z wyjątkiem słowa „rozum“, powtórnego kilkakrotnie niemal dziecięcym głosem, nie można było nic rozumieć.

Raz jeden, z powodu nagłej zapadłości terenu i grubego splotu gąszczów, stracili detektywi zupełnie z oczu obie postacie, które śledzili.

Przez jakich dziesięć minut, które były dla nich istną męczarnią, nie mogli dojrzeć obu sylwet, aż wreszcie obszedłszy szczyt, znaleźli się na obszernej wyniosłości górskiej, z której roztaczał się amfiteatralny widok na pełen przepychu obraz zachodzącego słońca.

W tem dominującym, osamotnionem miejscu znajdowała się pod drzewem stara, spróchniała ławka. Na niej siedzieli obaj księża, ciągle w poważnej pograżeni rozmowie.

Przepyszna zieloność i złoto przyłgnęły do tonącego w ciemnościach horyzontu, powoli jednak zmieniała kopuła u góry swe pawie tonv z zielonych w szafirowe, a gwiazdy uwypuklały się na niej coraz silniej, jak duże klejnoty.

Valentin dał niemy znak swym towarzyszom i sam przyczołgał się za wielkie drzewo. Tu, stanąwszy w śmiertelnem milczeniu, usłyszał po raz pierwszy słowa tych osobliwych księży.

Kiedy się tak, przez półtorej minuty przysłuchiwał, ogarnęła go piekielna wątpliwość.

Czy aby nie zawłókl dwóch londyńskich policjantów do tych opuszczonych błoni i a nocną wędrówkę, poto tylko — aby szukać gruszek na wierzbie?

Wszak księża rozmawiali najzupełniej, jak księża — pobożnie, uczenie i z całą swobodą, — o najbardziej wzniosłych zagadnieniach teologicznych!

Mały księżulek z Essex'u zwrócił swą okrągłą twarz ku gwiazdom i mówił z większą prostotą, niż drugi, który mówił z głową, spuszczoną wdół. Jakkoby nie czuł się nawet godnym spojrzeć ku górze. Ale tak duchownej i niewinnej rozmowy nie powstydzilby się żaden biały klasztor włoski, ani żadna czarna katedra w Hiszpanji.

Pierwszem, co Valentin usłyszał — był urywek zdania, które ksiądz Brown wygłosił:

„...To, co w wiekach średnich rozumiano pod niebiosami nie podlegającym zepsuciu!“

Wyższy wzrostem ksiądz pochylił jeszcze bardziej głowę i odparł:

„Ach tak, ci modni bezbożnicy odwołują się do rozumu — ale któż może patrzeć na te miliony światów i nie odczuwać, że ponad nimi muszą się znajdować cudowne przestworza, w których rozum jest zupełnie nierozumny?!“

„Rozum jest zawsze mądry“ odparł mały ksiądz — „nawet na najdalszym końcu, u kresu wszystkiego. Wiadomo, że ludzie oskarżają kościół o obniżanie doniosłości rozumu ale rzecz ta

ma się właśnie przeciwnie. Jedyne kościół czyni rozum istotnie najwyższą racją. Jedyne kościół twierdzi, że nawet Bóg jest rozumem związany!“

Na te słowa wzniósł drugi ksiądz swoje surowe oblicze ku połyskującemu niebu i rzekł:

„A jednak — kto wie, czy w tem nieskończonym przestworzu — — ?“

„Nieskończonym tylko fizycznie!“ — przerwał mu mały ksiądz, poruszając się gwałtownie na ławce — „ale nie w znaczeniu wymykania się z pod praw prawdy!“

Ukryty za drzewem Valentin gryzł w niemej wściekłości swoje paznokcie. Zdawało mu się prawie, że słyszy chichot obu detektywów, których zawlókł tak daleko, dla jakichś fantastycznych domysłów, aby przysłuchiwali się metafizycznej pogadance dwóch potulnych, starych księży.

W przystępie niecierpliwości nie dosłyszał równie pracowitej odpowiedzi wysokiego duchownego, a kiedy znowu wyteżył słuch, znowu mówił ksiądz Brown:

„Rozum i sprawiedliwość docierają do najodleglejszej i najsamotniejszej gwiazdy. Spójrz na gwiazdy, księżo! Czyż nie wyglądają, jak szafiry i djamenty? Wyobraź sobie najdzikszą botanicę i geologję — lasy kryształowe i brylantowe liście!

„Wyobraź sobie księżyc, jako jeden potężny, niebieski szafir. Ale nie wyobrażaj sobie księżo, że cała ta szalona astronomja zdołałaby w najmniejsze zakłopotanie wprawić rozum i sprawie-

dliwość Najwyższego Sędziego! Wszędzie — na równinach z opalu, pod skałami ciosanemi z pereł, ujrzałbyś tablicę z napisem: „Nie będziesz kradł!”

Valentin, przybity i zgnębiony tem jedynem w swem życiu szaleństwem, miał właśnie wyjść ze swojej sztywnej i skulonej pozycji i wyczołgać się tak cicho, jak to tylko było możliwe.

Ale — dziwnym trafem — kazało mu milczenie wysokiego księdza trwać nadal bez ruchu i czekać na jego odpowiedź. Ksiądz wygłosił ją z prostotą, z głową schyloną i rękoma na kolanach.

„Co do mnie — twierdzą nadal, — że inne światy mogą się wznieść ponad nasz rozum. Tajemnica niebios jest niezbadana i ja chylę przed nią kornie głowę!”

Poczem, marszcząc ciągle jeszcze brwi i ani na jotę nie zmieniając postawy ni głosu, dodał:

„Ot, podaj mi księżę ten twój krzyż z szafirami. Jesteśmy tu całkiem sami — mógłbym cię rozbić na miazgę, jak kukłę“.

Zupełnie niezmieniona postawa i głos dodawały dziwnej grozy tej naglej, wstrząsającej zmianie treści.

Ale strażnik relikwji — jak się zdawało — za ledwie o jakiś atom odchylił głowę z pierwotnego jej położenia i ciągle jeszcze zwracał swoją głupkowatą nieco twarz ku gwiazdom.

Może nie zrozumiał — a może zrozumiał i zmartwiał z przerażenia.

„Tak!” — mówił wysoki ksiądz bez najlżejsz

szego ruchu, tym samym przyciszonym głosem.—
„Tak! Jestem Flambeau“.

Po chwili dodał:

„No cóż? — dasz mi ten krzyż?!“

„Nie“ — odparł tamten, i dziwnie dźwięczała ta jednozgoska.

Wtedy Flambeau zrzucił ze siebie nagle swoją pontyfikalną godność. Wielki rozbójnik przechylił się w tył i zaśmiał się przeciągle a cicho.

„Nie chcesz mi go dać?!“ — krzyknął. — „Ty dumny prałacie! Nie chcesz mi go dać — ty bezżenny głuptasku?! A czy mam ci powiedzieć, dla czego mi go nie dasz? Bo mam go już w mojej kieszeni!“

Mały człowieczek z Essex'u zwrócił w mroku, swoją — jak się wydawało — ogłupiałą twarz ku niemu i rzekł z gorliwością:

„Czy — czy jesteś tego pewny?“

Flambeau zawył z uciechy.

„Jesteś doprawdy kapitalny — jak farsa trzyaktowa!“ — krzyczał. — „Ależ naturalnie, fuja! Jestem całkiem pewny! Miałem na tyle rozumu, aby sporządzić duplikat twojego pakunku — a teraz, mój przyjacielu, ty masz duplikat, a ja mam klejnoty! Stary „trick“, ojciec Brown, bardzo stary!“

„Tak“ — rzekł ksiądz Brown i przygładził ręką włosy z tym samym niewytłumaczonym spojrzem — „znam go już oddawna“.

Król złodziejów pochylł się nad wiejskim księżulkiem z rodzajem nagłego zainteresowania.

„Tyś o tem słyszał?“ — zapytał. — „Gdzieś ty mógł o tem słyszeć?!“

„Nie mogę ci oczywiście powiedzieć, jak on się nazywał“ — odrzekł mały człowieczek z prostotą. — „W każdym razie był to pewien pokutujący grzesznik. Dwadzieścia lat żył dostatnio — wyłącznie z podwójnych pakunków... I tak — widzisz — kiedym cię zaczął podejrzewać, zaraz pomyślałem o fortelach tego biedaczyska“.

„Zacząłeś mnie podejrzewać?“ — powtórzył zbrodniarz z rosnącym napięciem. — „Czy byłeś rzeczywiście na tyle sprytny, aby powziąć takie podejrzenia, tylko dlatego, że zaprowadziłem cię do tej odległej, pustej części błoni?“

„Nie, nie!“ — odparł Brown takim tonem, jak gdyby się chciał usprawiedliwić. — „Widzisz, zacząłem cię podejrzewać już wtedy, kiedyśmy się tylko spotkali. A to z powodu tej wypukłości w rękawie, w którym ludzie twojego typu noszą bransolety z kolcami...“

„Skądżesz, do licha, ty wiesz co o bransoletach z kolcami?“ — odezwał się Flambeau.

„Od mojej trzódki — rozumie się“ — odparł ksiądz Brown, a gdy to mówił, brwi jego zarysowały się wyraźnie naksztalt łuku. „Kiedym był wikarym w Hartlepol, było tam trzech takich — z naszpikowanemi bransoletami. I tak — kiedym cię po raz pierwszy począł podejrzewać — posta-

rałem się o to, aby krzyż dostał się w bezpieczne miejsce. Poprawdzie, śledziłem cię od pierwszej chwili, aż w końcu dostrzegłem, jak zamieniłeś pakunki. Wtedy, mój drogi, zamieniłem je z powrotem i rozmyślnie zostawiłem właściwy pakunek za sobą“.

„Zostawiłeś za sobą?“ — powtórzył Flambeau, a w słowach jego, po raz pierwszy, poza nutą triumfalną, zabrzmiała jeszcze jakaś inna.

„Tak, jak słyszysz“ — rzekł księżulek niezmiennym głosem, bez śladu jakiegokolwiek wzruszenia. — „Wróciłem do owej cukierni i zapytałem, czy nie zapomniałem tam pakunczka — potem podałem dokładny adres, na wypadek, gdyby się tenże znalazł. Oczywiście wiedziałem dobrze, żem w istocie żadnego pakunku nie zapomniał — dopiero potem, kiedy wychodziłem, podrzuciłem go w sklepie. Tak tedy — zamiast mnie dogonić i oddać mi ten cenny pakiecik, odesłano go pośpiesznie do mego przyjaciela w Westminster“.

Po tych słowach dodał nieco smętnie:

„Tego nauczyłem się także od jednego biedaczyska w Hartlepol, który uprawiał to zwykle na dworcach kolejowych. Wtedy wykradał w ten sposób torebki ręczne. Obecnie jest w klasztorze. — Ach! czegoż to się człowiek nie dowiadyje!...“ — dodał, ocierając czoło, z miną, jakgdyby znowu siebie chciał usprawiedliwić.

„Ale trudno, od tego jesteśmy księżmi. Ludzie

sami przychodzą do nas i opowiadają nam o tych rzeczach..“

Flambeau wyrwał z kieszeni pakunek, owinięty w brązowy papier i potargał go na strzępy.

Nie było w nim nic, prócz papieru i kilku odłamków ołowiu.

Wściekłym ruchem skoczył olbrzym na równe nogi i krzyknął:

„Nie wierzę ci! Nie wierzę, abyś ty — aby taki głupiec mógł tego wszystkiego dokazać! Jestem pewny, że masz jeszcze krzyż przy sobie — a jeżeli mi go nie dasz — cóż — jesteśmy sami — gwałtem ci go wezmę!“

„Nie“ — odparł ojciec Brown z prostotą i także podniósł się z ławki. — „Słą go nie weźmiesz. Po pierwsze — dlatego, że ja w istocie nie mam krzyża przy sobie, a po drugie — ponieważ nie jesteśmy sami“.

Flambeau zahamował się w swojej pasji.

„Za tem drzewem“ ciągnął ojciec Brown dalej, wskazując palcem — „stoją dwaj policjanci i najślawniejszy detektyw świata. Pytasz, jak oni tu zaszli? — ja ich tu przywiodłem. A jak to uczyniłem? — Jeżeli chcesz, i to ci mogę powiedzieć. Przebóg! Ileż podobnych rzeczy musimy poznać, kiedy pracujemy wpośród zbrodniarzy!...“

„Co do ciebie — nie byłem pewny, czy w istocie jesteś złodziejem, a nie byłoby się przecie godziło robić skandalu któremuś z naszego stanu.

Wystawiłem cię wobec tego na próbę, aby się przekonać, czy ty się sam czemś nie zdradzisz“.

„Zazwyczaj robi człowiek małą awanturę, kiedy znajduje sól w swojej kawie, ale jeżeli tego nie czyni, musi mieć jakiś powód, dla którego siedzi cicho. Ja zamieniłem cukier na sól — a ty siedziałeś cicho..“

„Zazwyczaj zwraca człowiek na to uwagę, jeżeli jego rachunek jest trzy razy za duży, ale jeżeli go płaci, ma najwidooczniej pewne powody, dla których chce ujść niepostrzeżenie. Ja zmieniłem twój rachunek, a tyś go zapłacił..“

Zdawało się, że cały świat czeka na moment, w którym Flambeau skoczy, jak tygrys. Ale czar jakiś trzymał go na wodzy, a bezgraniczna ciekawość kazała mu zastygnąć w bezruchu.

Ojciec Brown ciągnął dalej powoli i dobitnie:

„Ponieważ nie chciałeś zostawić za sobą żadnych śladów dla policji, musiał cię oczywiście ktoś w tem wyręczyć. Gdziekolwiek byliśmy, nie zaniechałem czegoś takiego uczynić, coby dostarczyło tematu do mówienia o nas aż do późnego wieczora. Nie wyrządzałem przytem wielkiej szkody — oł, jedna ściana obryzgana, jabłka rozsypane na ulicy, zbita szyba — ale krzyż uratowałem. Krzyż zawsze zostanie uratowany — tak jak i teraz, kiedy znajduje się w Westminster.

Poprawdnie mówiąc, dziwi mnie tylko dąsyć, żeś go przez „ośli świst“ nie zdobył“

„Przez co?“ — zapytał Flambeau.

„Ciesz się, żeś nigdy o tem nie słyszał“ — mówił ksiądz z uśmiechem. — „To rzecz bardzo brzydka. Jestem przekonany, że jesteś na to za dobrym człowiekiem! Ja przecie nie byłbym mógł nawet zmierzyć się z tobą. Nie jestem dość silny..“

„O czem, na miły Bóg, mówisz?“ — zapytał tamten.

„Prawdę mówiąc, myślałem, że wiesz, co to są „ośle świsty“ — rzekł ksiądz Brown, mile zdziwiony. — „Och, ty jeszcze nie musisz być tak bardzo zepsuty!“

„Skąd, do kroćset piorunów, znasz wszystkie te okropności?“ — wykrzyknął Flambeau.

Cień uśmiechu przeszedł po okrągłej, pełnej prostoty twarzy jego duchownego przeciwnika.

„O, dzięki temu, przypuszczam, że jestem bezżennym głuptaskiem“ — odparł. — „Czy ci to nie wpadło nigdy na myśl, że człowiek, który prawie nic nie robi, jak tylko słucha prawdziwych ludzkich grzechów, nie może znać zła ludzkiego?“

„Ale — aby się trzymać ściśle faktów — muszę wyznać, że jeszcze jedna strona mojego zawodu utwierdziła mnie w przekonaniu, że ty nie jesteś księdzem“.

„Cóż takiego?“ — spytał złodziej, stojąc jak wryty.

„Tyś atakował rozum. A to jest zła teologja!“ — to mówiąc, odwrócił się, aby zebrać swoje manatki.

W tej samej chwili wszyscy trzej policjanci wychyli li się z mroku drzew.

Flambeau był artystą i rycerzem: zrobił krok w tył i złożył przed Valentin'em głęboki ukłon.

„Nie mnie się kłaniaj, „mon ami“ — rzekł ze srebrzystą jasnością w głosie Valentin, ale złożmy obaj ukłon naszemu mistrzowi!“

W następnej chwili stanęli z obnażonemi głowami, podczas, gdy książulek z Essex'u rozglądał się dokoła za swoim parasolem.

TAJEMNICZY OGRÓD

Goście Aristide'a Valent'n'a zaczęli się już schodzić — jego samego jednak jeszcze nie było.

Ale Iwan, stary zaufany sługa domu z wielką blizną na twarzy — prawie tak szarej, jak jego zawieszony wąs — zapewniał gości, że pan wkrótce nadejdzie. Przesiadywał on stale w hall'u, obwieszonym dokoła bronią, i tu, u wstępu do domu, przepędzał długie godziny przy małym stoliku.

Dom Valent'n'a był może równie osobliwy, jak osobliwym był jego sławny pan. Był to stary budynek, otoczony zewsząd wysokim murem i obsadzony topolami, które schodziły niemal do brzegów Sekwany. Oprócz od drzwi frontowych, strzeżonych przez Iwana i jego arsenał, dom nie miał żadnego innego wyjścia. Kilkoro drzwi wiodło wprawdzie na duży i starannie utrzymany ogród, ale ogród ten zamykał z wszystkich stron wysoki, gładki mur, niedostępny dzięki ostrym kolcom, którymi najeżony był u szczytu, w całej swej długości.

Tej właśnie budowie zawdzięczał dom i ogród swoją osobliwość; szczególną wartość miał zaś dla człowieka, który mógł tu bezpiecznie i spokojnie oddawać się swym rozmyślaniom, choćby na życie jego zaprzysięgło się bodaj stu przestępców.

Według zapewnień Iwana, pan zawiadomił go telefonicznie, że został zatrzymany i dopiero za parę minut będzie w domu.

W rzeczywistości Valentin wydawał właśnie ostatnie rozporządzenia w nieprzyjemnej dlań sprawie — stracenia przestępcy. Jakkolwiek podobne obowiązki były jego naturze przeciwne, wypełniał je jednak zawsze z całą sumiennością. Nieubłagany w ściganiu przestępców, był bardzo łagodnym w wymierzaniu kar. Odkąd swoją metodą policyjną przewyższył wszystkie inne systemy francuskie, a nawet europejskie, z całą wielkodusznością począł używać swego wielkiego wpływu łagodzenia wyroków i przerzedzania więzień.

Był jednym z tych wielkich, wyrozumiałych myślicieli, których jedyną ujemną właściwością jest to, że łaska ich jest dotkliwszą od sprawiedliwości.

Kiedy Valentin nadszedł, miał już na sobie strój wieczorowy z czerwoną rozetą w butonierce — był to mężczyzna o eleganckiej postawie z ciemną brodą, przetykaną tu i ówdzie srebrnymi nitkami. Minawszy szereg pokojów, udał się wprost do swej pracowni, której otwarte drzwi wychodziły na tylną część ogrodu.

Valentin schował troskliwie do urzędowej skrytki swoją skórzaną torbę i przystanąwszy na chwilę w otwartych drzwiach, wyjrzał na ogród.

Jasny, wyraźnie zarysowany kształt odpierał pędzone burzą postrzępione łachmany chmur, na które Valentin spoglądał w zadumie dość niezwykłej u ludzi jego pokroju, oddanych ścisłym rozmyślaniom. Możliwe zresztą, że właśnie podobne natury, pogrążone w badaniach, mają jakoweś dziwne psychiczne przeczucia swych największych życiowych problemów.

W każdym razie otrząsnął się szybko z tego tajemniczego poniekąd nastroju, wiedząc, że jest już późno i że goście zaczęli się schodzić.

Jedno spojrzenie w stronę salonu wystarczyło mu, aby się upewnić, że w każdym razie brakło jeszcze w salonie głównego gościa. Ujrzał natomiast wszystkie inne figury małego zebrania: angielskiego ambasadora, lorda Galloway, zgryźliwego starca z twarzą rumianą jak jabłko i z niebieską wstęgą orderu Podwiązki, a przy nim chudą jak tyka lady Galloway o twarzy subtelnej i pełnej godności, okolonej srebrnymi włosami, ujrzał ich córkę, lady Margaret, ładną, bladą dziewczynkę z włosami koloru miedzi. Ujrzał duchessę z Mont Michel, damę o czarnych oczach i bardzo korpulentną, przy niej zaś dwie jej córki, podobnie jak ona czarnookie i otyle. Widział doktora Simona, typowego uczonego francuskiego w okularach, z ciemną, spiczastą bródką i czołem porytem równoległym

mi brózdami, które są karą za zarozumiałość i wy
nkiem ustawicznego podnoszenia brwi.

Ujrzał ojca Brown'a z Cobhole w Essex, z któ-
rym się dopiero niedawno spotkał był w Anglii,
większe jednak zainteresowanie obudził w nim
wysoki mężczyzna w mundurze, który, złożywszy
ukłon rodzinie Galloway'ów, spotkał się z chłodną
odповідzią, a teraz zbliżał się właśnie do pana
domu, aby mu złożyć uszanowanie.

Był to komendant O'Brien, oficer francuskiej
Ligji cudzoziemskiej. Postać miał wyniosłą i minę
nieco pyszałkowatą, włosy ciemne, niebieskie oczy
i twarz gładko wygoloną, na twarzy zaś równocze-
śnie wyraz pogromcy i melancholika, co u oficera
tego pułku, słynnego ze zwycięskich porażek
i chwalebnych samobójstw, było rzeczą całkiem
naturalną. Pochodził z irlandzkiej szlachty i Gal-
loway'ów, szczególnie Margaretę Graham znał je-
szcze z lat chłopięcych. Zabrnawszy w długi, opu-
ścił po małym skandalu swą ojczyznę i oto teraz
wyrażał swe zupełne lekceważenie dla brytyjskiej
etykiety, paradując w mundurze, z szablą przy
boku i pobrzękując w salonie ostrogami.

Kiedy złożył ukłon rodzinie ambasadora, lord
i lady Galloway odклонili się sztywnie i chłodno,
a lady Margaret spojrziała w inną stronę, udając,
że go nie widzi.

Pomimo jednak, iż wszyscy ci ludzie z najroz-
maitszych względów mogli dla innych stanowić
przedmiot zainteresowania, żeden z nich nie ścia-

gał na siebie głównej uwagi pana domu, żaden z nich nie był przynajmniej w jego oczach „gościem wieczoru“. Valentin, dla całkiem szczególnych powodów, oczekiwał człowieka światowej sławy, którego przyjaźń pozyskał sobie w czasie jednej ze swoich słynnych, pełnych triumfów, wypraw kryminalistycznych w Stanach Zjednoczonych.

Człowiekiem tym był Juljusz S. Brayne, multimiljoner amerykański, który olbrzymiemi sumami obdarowywał różne drobne sekty religijne, dając im temsamem druzgocącą przewagę nad wszystkimi przeciwnikami. Dla angielskich i amerykańskich dzienników był on ciągłym przedmiotem bardzo łatwych wolnych żartów i jeszcze łatwiejszych pochlebstw. Trudno było rozstrzygnąć, czy Brayne był ateistą, czy Mormonom, czy też może należał do sekty „Wiedzy Chrześcijańskiej“, było widoczne tylko jedno, że coraz to nowe, nieznanemu dotąd sekty, zasilał swojemi funduszami.

Ponadto miał jedną wielką słabostkę: czekał na amerykańskiego Szekspira. Była to coprawda słabostka natury bardziej biernej, niż czynnej: nie szukał go, lecz wierzył w jego przyjście. Podziwiał Walta Whitmana, lecz był zdania, że Luka P. Tanner z Paryża (w Pensylwanji) jest bardziej „postępowy“, niż nim był kiedykolwiek Whitman. Wogóle uwielbiał wszystko, co mu się wydawało postępowem. Uważał, że Valentin jest również „po-

stępowcem“, czem wyrządzał mu głęboką krzywdę.

Wejście okazałego Juljusza Brayne'a dało hałas do uderzenia w stołowy gong. Brayne mógł się poszczycić właściwością, którą posiada tylko niewielu ludzi, że obecność jego zwracała powszechną uwagę, tak samo jak i jego nieobecność.

Był to człowiek olbrzymiego wzrostu, tusza jego zaś nie ustępowała w niczem jego wzrostowi. Miał na sobie strój ściśle wieczorowy, pozbawiony najlżejszych swobód pod postacią łańcuszka do zegarka lub nawet pierścienia. Białe włosy nosił zaczesane w tył, gładko, na modłę niemiecką. Twarz jego, czerwoną i puciołowatą, zakańczał pod dolną wargą pęczek ciemnych wąsów, co przy jej całym, dziecięcym zresztą wyrazie, nadawało jej efekt teatralno-groźny — niemal mefistofelesowski.

Niedługo jednak danem było obserwować ze wszystkich stron sławnego amerykańczyka: spóźnienie jego stało się już problemem wieczoru, tak, że bezzwłocznie po przybyciu, musiał Brayne ruszyć do stołu, prowadząc pod ramię lady Galloway.

Galloway'owie, ludzie zresztą niezmiernie uprzejmi i towarzyscy, na jednym tylko punkcie byli drażliwi.

Jak długo stary Galloway nie widział córki swej, lady Margaret, u ramienia awanturniczego O'Briena, tak długo nie okazywał najmniejszego niezadowolenia. Nie miał jednak spokoju. Jakkol-

wiek lady Margaret z całą godnością poszła do stołu w towarzystwie nie O'Brien'a, lecz D-ra Simona, stary lord stawał się coraz opryskliwszy i mniej uprzejmy.

Podczas obiadu potrafił się jeszcze dość dyplomatycznie hamować, lecz kiedy po obiedzie panowie przeszli do palarni, trzech zaś najmłodszych, a mianowicie Dr. Simon, ksiądz Brown i niebezpieczny wygnaniec w mundurze cudzoziemca, O'Brien, wymknęło się, aby towarzyszyć paniom, czy też wypalić papierosa w cieplarni — wówczas angielski dyplomata zaczął się zachowywać dość niedyplomatycznie.

Bezustannie irytowała go myśl o możliwości jakiegoś porozumienia między owym nicponiem, a jego córką — porozumienia, którego zresztą nie próbował sobie nawet wyobrazić.

Przy kawie znalazł się w towarzystwie Brayne'a, siwego Jankesa, który wierzył we wszystkie religje i szpakowatego Francuza Valentina, który w żadną z nich nie wierzył. Mogli sobie dyskutować, jak im się żywnie podobało, jemu żaden z nich nie przemawiał do przekonania.

Po pewnym czasie, kiedy ta „postępowa“, dość zresztą wymuszona rozmowa, osiągnęła kulminacyjny punkt nudy, lord Galloway wstał i również skierował swe kroki w stronę salonu.

Przez jakiś czas błądził po długich korytarzach, gdy wtem usłyszał mentorski dyszkant dok-

tora, a po chwili monotony głos księdza, po którym rozległ się ogólny śmiech.

Zapewne i oni rozprawiają o „wiedzy i religji“, pomyślał z pasją. W chwili jednak, gdy otworzył drzwi salonu, ujrzał tylko jedno — to, czego tam nie było. Ujrzał, że nie było w salonie komendanta O'Brien'a — ani lady Margaret.

Niecierpliwie opuścił salon, jak przedtem pokój stołowy, i przeszedł długi korytarz zpowrotem. Chęć uchronienia swej córki przed irlandzko-algierskim nicponiem stała się jakąś idée fixe w jego umyśle. Kiedy wreszcie zaszedł do tylnej części domu, tej, w której znajdowała się pracownia Valentin'a, spotkał niespodzianie swą córkę, która przesunęła się obok niego z wyrazem gniewu na pobladłej twarzy.

Galloway stanął przed drugą zagadką. Jeżeli była z O'Brien'em, gdzież się ten podział? Jeśli zaś nie była z nim, skądże mogła więc wracać?

Ze starczą i namiętną podejrzliwością począł poomacku szukać sobie dalszej drogi poprzez ciemne zakamarki domu, aż w końcu znalazł tylne drzwi dla służby, prowadzące do ogrodu.

Księżyc ostrym sierpem potargał już był do cna i rozpedził ostatnie strzepy chmur, a jego srebrny blask oświetlał jasno wszystkie zakątki ogrodu, w którym jakaś smukła, ciemna postać stąpała po trawniku ku drzwiom pracowni.

Jeden błysk srebrzystego światła odsłonił jej oblicze. Był to komendant O'Brien.

Wskoczywszy przez niskie okno do wnętrza domu, zniknął, pozostawiając lorda Galloway'a w nieopisanej wściekłości, gwałtownej, choć nieusprawiedliwionej żadną przyczyną.

Zdawało się, że ogród oblany srebrno-niebieskim światłem, przypominającym efekty kinkietów, narzucił mu samowolnie swój czar, powodujący jego chłodną niewzruszoność i pewność siebie.

Wytworność Irlandczyka i wdzięk, z jakim się poruszał, wprawiały go w szal, jakgdyby był nie ojcem, lecz rywalem swej córki. Drażniło go nawet światło księżyca, czuł się cały jakby omotały siłą jego czaru w ogrodzie trubadurów, w jakiejś krainie baśni a la Watteau.

Nagle zebrał się na ostateczną rozprawę z przeciwnikiem — w ten sposób postanowił położyć wreszcie kres tym wszystkim niedorzecznym amorom. Otrząsnął się i szybkim krokiem podążył za O'Brien'em.

Wtem potknął się o coś — jakiś pień, czy kamień w trawie, i spojrział wdół ze złością, która natychmiast zamieniła się w zaciekawienie.

Księżyc i smukłe topole stały się w chwilę później świadkami niezwykłego obrazu: oto starszy dyplomata angielski biegł co sił, krzycząc przeraźliwie.

Jego straszne ochryple krzyki ściągnęły w drzwi pracowni białą twarz, błyszczące okulary i niespokojnie ściągnięte brwi: Simon pochwycił

pierwsze artykułowane słowa starego arystokraty.

Lord Galloway wyrzucił:

— Trup w trawie! Krwawy trup!

Przerażony O'Brien stracił na te słowa zupełnie głowę.

— Musimy natychmiast donieść o tem Valentin'owi — rzekł doktor, kiedy tamten opisał w urwanych słowach to, co przy całym swem przerażeniu zdołał zauważyć.

— Szczęście doprawdy, że go tu mamy — za ledwie to wyrzekł, ukazał się w pracowni wielki detektyw, zwabiony krzykiem.

Niezmiernie ciekawe było jego nagłe przerażenie. Zjawił się z wyrazem zainteresowania na twarzy, typowym dla pana domu, który jest zaniepokojony tem, że któremuś z jego gości lub służby wydarzyło się nieszczęście.

Na wieść o strasznym wypadku wystąpiła jednak odrazu na jego bystrą twarz cała powaga człowieka, który w skupieniu oddaje się sprawie swego fachu.

— Dziwne doprawdy, moi panowie — mówił kiedy zdążali pośpiesznie do ogrodu. — Musiałem zawsze cały świat zbiegać w dochodzeniu najrozmaitszych tajemnic, a oto teraz nawiedza mnie jedna z nich sama, w mojem własnem podwórku. Gdzież jednak jest to miejsce?

Z pewnym trudem przeszli murawę, bo lekka mgła poczęła się wznosić z nad rzeki, lecz pod wo-

dzą wstrząśniętego do głębi Galloway'a, znaleźli wreszcie ukryte w głębokiej trawie ciało bardzo wysokiego i barczystego mężczyzny. Leżał twarzą do ziemi i dostrzec mogli tylko jego czarne ubranie na potężnych barach i dużą łysinę, oblepioną jednym pasmem brunatnych włosów, przylegających do czaszki, jak mokra trawa morska.

Czerwony wąż krwi wypełzał z pod niewidocznej, odwróconej twarzy.

— Przynajmniej nikt — rzekł dr. Simon z głęboką szczególną intonacją w głosie — nikt z naszego towarzystwa.

— Zbadaj go — rzekł Valentin szorstko — może jeszcze żyje.

Doktor pochylił się i rzekł:

— Nie jest jeszcze zupełnie zimny, myślę jednak, że jest już po nim. Ot, lepiej pomóżcie mi panowie go podnieść.

Kiedy dźwignęli go nieco z ziemi, ustąpiły od razu z przerażającą grozą najmniejsze wątpliwości co do jego stanu.

Głowa, odrąbana całkowicie od tułowia, została na ziemi. Ten, który przeciął gardło, równie wprawnie przerąbał i kark.

Nawet Valentin dostał na ten widok lekkiego dreszczu i szepnął z przerażeniem:

— Morderca musiał być silny, jak goryl.

Dr. Simon, jakkolwiek przyzwyczajony do anatomicznych sekcji, podniósł głowę nie bez pewnego drżenia.

Głowa była tylko zlekka uszkodzona, przy karku i szczęce, lecz twarz była zasadniczo nie tknięta, twarz zarazem zaradła i obrzmiała, o czerze poźółkłej, orlim nosie i ciężkich powiekach, twarz zbrodniczego imperatora rzymskiego, przypominająca przytem zlekka oblicze jakiegoś chińskiego cesarza.

Wszyscy obecni zdawali się przyglądać głowie chłodnem okiem, co wskazywało na to, że twarz jest wszystkim najzupełniej obca i nieznaną.

Kiedy przewrócili ciało, dojrzeli biały połysk gorsu koszuli, splamionego czerwonym pasmem krwi — pozatem nic nie można było na trupie zauważyć.

Jak już stwierdził dr. Simon, zamordowany nie należał bynajmniej do ich towarzystwa. Możliwem jednak było, że zamierzał wziąć udział w zebraniu u Valentin'a, na co wskazywał odpowiedni strój wieczorowy.

Valentin przykląkł i na kolanach począł badać trawę i grunt na przestrzeni dwudziestu jardów dokoła ciała ze ściśle zawodową uwagą, w czem mu mniej zręcznie pomagał dr. Simon, a już całkiem nieudolnie angielski lord. Szukanie ich nie dało jednak żadnych rezultatów. Znaleźli jedynie parę gałązek, pociętych na małe patyczki, które Valentin podniósł, aby im się zbliżka przyrzec. Widząc, że mu się na nic nie przydadzą, odrzucił je precz.

— Gałązki — rzekł w zamyśleniu — gałązki i obcy człowiek z odciętą głową, oto wszystko!

Nastąpiła długa chwila ciszy, którą przerwał nagle głos uspokojonego już nieco Galloway'a.

— Kto tu? — krzyknął ostro — kto stoi pod murem ogrodu?

W przymglonem świetle księżyca zbliżała się do nich niezgrabnym krokiem mała sylwetka z śmiesznie dużą głową. Przez chwilę przypominała małego gnoma, aż wreszcie ukazała się wszystkim postać niezaradnego księżulka, którego pozostawili w salonie.

— Czy państwo wiecie, że w tym ogrodzie niema wogóle bramy? — spytał łagodnie.

Czarne brwi Valentina ściągnęły się nieco gniewnie — jak zwykle na widok sutanny. Lecz mimo całej niechęci był na tyle sprawiedliwym, że ocenił trafność spostrzeżenia.

— Masz słuszność, księże — rzekł — zanim odkryjemy sposób, w jaki przybysz został zabity, musimy wpiery zbadać, jak mu się udało tutaj dostać. — A teraz słuchajcie panowie: Jeżeli sprawa ma się obyć bez jakiegokolwiek narażenia mego stanowiska i mojej osoby, musimy się wszyscy na to zgodzić, aby pewne wybitniejsze nazwiska zostały z tej całej afery wyłączone. W towarzystwie naszym znajdują się panie i angielski ambasador. Jeżeli uznamy powyższy czyn za zbrodnię, będziemy musieli jak zbrodnię go śledzić. Do tego momentu będę jednak dyskretny. Jestem głową

policji paryskiej. Jestem osobistością tak publiczną, że raz mogę sobie na to pozwolić, aby działać prywatnie. Dałby Bóg, abym przekonał się o niewinności każdego z moich gości, zanim zawezwę moich ludzi i każę im szukać winowajcy poza naszym gronem.

— Panowie! Żaden z was nie opuści tego domu przed jutrzejszym południem, sypialnie znajdują się dla wszystkich.

— Doktorze, przypuszczam, że wiesz, gdzie można znaleźć Iwana, jest w głównym hallu. Jest to człowiek, któremu można zaufać. Powiedz mu, aby się dał zastąpić, sam zaś niech przyjdzie do mnie bezwłocznie.

— Lordzie Galloway, ty może najogłędniej potrafisz powiadomić panie o tem co zaszło, bez wywołania popłochu i przerażenia. Panie muszą oczywiście także tu pozostać. Ojciec Brown i ja zostaniemy przy trupie.

W Valentinie przemawiał wódz. Słuchano go jak trąbki myśliwskiej.

Doktor Simon udał się natychmiast do zbrojowni i wyprawił Iwana, który był prywatnym detektywem, po detektywa publicznego.

Galloway udał się do salonu i w sposób możliwie ogłędny przedstawił paniom straszny wypadek, tak, że kiedy wszyscy znaleźli się z powrotem w salonie, panie już otrząsnęły się nieco z pierwszego przerażenia.

Tymczasem dobry ksiądz i dobry ateista stali

nieruchomo w świetle księżyca u głowy i stóp trupa, podobni dwóm symbolicznym posągom ich dwóch filozofij śmierci.

Iwan, zaufany sługa z blizną na wąsatej twarzy, wypadł jak strzała z domu i przebiegłszy pędem trawnik, stanął przed Valentinem, jak pies przed swym panem.

Krwawe wydarzenie w domu jego pana ożywiło jego szarą twarz blaskiem niezwykłego rozgorączkowania. Z rażącą niemal gorliwością poprosił Valentina, aby mu pozwolił obejrzeć zwłoki.

— Dobrze, przyjrzyj się im, jeśli chcesz, rzekł Valentin — ale prędko! Musimy zanieść ciało do domu.

Iwan podniósł z trawnika odciętą głowę i omal jej natychmiast nie opuścił.

Jakże to? — rzekł bez tchu. — To jest.. nie.. nie... to być nie może! Czy Jaśnie Pan znalazł tego człowieka?

— Nie — odparł obojętnie Valentin — ale wejdźmy do domu.

Poniesli trupa i złożyli go na kanapie w pracowni, potem przeszli wszyscy trzej do salonu.

Detektyw usiadł przy biurku z tak zupełnym spokojem, że zakrawało to prawie na niezdecydowanie, lecz oko jego nie straciło ani przez chwilę stalowego wyrazu spojrzeń sędziego śledczego.

Skreśliwszy kilka uwag na kartce papieru, leżącej przed nim na biurku, spytał krótko: „Czy wszyscy z państwa obecni?“

— Nie ma pana Brayne'a — rzekła duchessa z Mont St. Michael, rozglądając się dokoła.

— Tak — dorzucił ochryplym i szorstkim głosem lord Galloway — i pana Neil O'Briena, jak mi się zdaje, też nie ma. Widziałem, jak się przechał po ogrodzie, kiedy zwłoki były jeszcze ciepłe.

— Iwanie — rzekł detektyw — przyprowadź tu komendanta O'Brien'a i pana Brayne'a. Pan Brayne, o ile się nie mylę, dopala cygara w pokoju stołowym, a komendant O'Brien będzie prawdopodobnie w cieplarni.

Wierny sługa wypadł jak strzała z salonu.

Valentin ciągnął dalej z tą samą energją w swej iście dyktatorskiej przemowie, nie dopuszczając nikogo z gości do głosu.

— Jak państwu wszystkim wiadomo, znaleziono w ogrodzie trupa mężczyzny z głową całkowicie odciętą od tułowia. Tyś ją obejrzał doktorze, jak przypuszczasz, czy trzeba wielkiej siły na to, aby w podobny sposób podciąć komuś gardło? Czy może wystarczyłby do tego bardzo ostry nóż?

— Powiedziałbym, że nożem wogóle podobnego cięcia dokonać nie można — odparł blady doktor.

— Czy ma pan na myśli inne jakieś narzędzie, którem możnaby to zrobić? — pytał Valentin dalej.

— Wedle dzisiejszych możliwości nie wyobrażam sobie, jakiego rodzaju narzędzie mogłoby to być — mówił doktor, marszcząc brwi z nateżeniem.

niem. Trudnoby było przeciąć taki kark bez należytej wprawy, było to zaś cięcie mistrzowskiego miecza, a może jakiegoś miecza obosiecznego.

— Na miłość boską — krzyknęła duchessa, bliska już ataku histerycznego — przecież niema tutaj nigdzie toporów ani mieczów!

Valentin robił tymczasem dalej swoje zapiski, aż wreszcie odezwał się:

— Powiedz mi, doktorze, czy nie mogłaby tu wchodzić w grę długa francuska szabla kawalerska?

W tej chwili usłyszano ciche pukanie do drzwi, które wszystkim — niewiadomo dlaczego — ścięło krew w żyłach, podobnie, jak owo pukanie w „Makbecie“.

— Szabla? — odpowiedział z wysiłkiem dr. Simon, w ogólnej, zmartwiałej ciszy — tak, przypuszczam, że to możliwe.

— Dziękuję ci — rzekł Valentin i rzucił ku drzwiom: — Iwanie, możesz wejść!

Iwan otworzył drzwi i wpuścił komendanta O'Briena, którego znalazł wreszcie przechadzającego się w ogrodzie.

Irlandzki oficer stanął z butną miną w progu i z pewną nonszalancją zapytał:

— Czem mogę panom służyć?

— Niech pan siada, — rzekł uprzejmie Valentin zmienionym głosem — A gdzież to pan podział swoją szablę?

— Zostawiłem ją w pracowni na stole, zawa-

działa mi, — odparł O'Brien, wpadając we wrodzony sobie żargon irlandzki, co mu się zdarzało, gdy był wzburzony.

— Iwanie, — przerwał mu Valentin — przynieś z czytelnicy szablę komendanta! — a kiedy sługa wyszedł, aby spełnić rozkaz, dodał:

— Lord Galloway twierdzi, że widział jak pan opuszczałeś ogród prawie w chwili, w której natknął się na zwłoki. Cóż pan robił w ogrodzie?

Komendant opadł niedbale na krzesło i zaciągając już całkiem z irlandzka, rzucił:

— Och! Podziwiałem księżyc i rozmawiałem z przyrodą, mój przyjacielu!

Zapadło ciężkie milczenie, przerwane wreszcie prostackim i strasznym pukaniem Iwana.

Iwan trzymał w ręku próżną stalową pochwę.

— Oto wszystko, com znalazł.

— Połóż to na stół! — rozkazał Valentin, nie podnosząc oczu.

W pokoju zapanowało martwe milczenie, podobne do ciszy, która zalega celę skazańca.

Duchessa zaprzestała swych nerwowych okrzyków przerażenia, a lord Galloway doznał w swej nieopisanej wprost nienawiści wielkiego zadośćuczynienia i odzyskał poniekąd równowagę umysłu.

Całkiem nieoczekiwanie zabrzmiał nagle w pokoju głos kobiety.

— Zdaje się, że ja, — rzekła lady Margaret, jasnym, choć drżącym głosem, jakim zwykle pu-

blicznie przemawia odważna kobieta — zdaje się, że ja mogę państwu powiedzieć, co pan O'Brien robił w ogrodzie, skoro on sam wiąże się milczeniem. Pan O'Brien prosił mnie o rękę. Odmówiłam mu. Powiedziałam, że ze względu na stosunki, które panują w naszej rodzinie, mogę mu się odwzajemnić tylko szacunkiem. To go trochę rozgniewało — zdaje się, że nie wiele wagi przykładał do mojego szacunku. Ciekawa jestem — dodała z nieco bladym uśmiechem — czy i teraz jest mu mój szacunek obojętny, bo właśnie teraz wyrażam mu go w całej pełni, każdej chwili jestem gotowa przysiąc, że on żadną miarą nie mógł podobnej rzeczy popełnić!

W międzyczasie lord Galloway zbliżył się do swojej córki i jął do niej mówić groźnym i oniesmielającym głosem, który jemu wydawał się szepsem, a w rzeczywistości był pełen warczących grzmotów.

— Cicho bądź, Małgorzato! Milcz! Poco go bronisz? Na co mu się to przyda? Gdzież jest jego szabla? Gdzie ta przeklęta żołnierska?

Szczególny wzrok córki, który na wszystkich obecnych podziałał jak niesamowity magnes, zmusił go do milczenia.

— Stary głupcze, — rzekła przytłumionym głosem, bez cienia najmniejszego pietyzmu dla ojca — jak myślisz, co chcesz udowodnić? Oświadczam ci, że ten człowiek nie popełnił żadnej winy w czasie, kiedy był ze mną. Jeśli zaś nawet

jest winny, to jednak ze mną był w ogrodzie. Jeżeli w istocie zabił człowieka, musiałby to ktoś wiedzieć! Ktoś musiałby przynajmniej wiedzieć coś o tem? Czy nienawidzisz Neila tak dalece, iżbyś miał własną córkę...

Lady Galloway wydała okrzyk przerażenia.

Wszyscy siedzieli drżący, poruszeni obrazami owych wstrząsających tragedij, które się tyle razy rozgrywały pomiędzy kochankami. Wzdziali twarze: ojca, dumnego szkockiego arystokraty i kochanka, irlandzkiego awanturnika, które wydawały się jakgdyby obliczami ze starych portretów, wiszących w jakimś ponurym, ciemnym domu.

Długie milczenie pełne było mglistych wspomnień z historii o zamordowanych małżonkach i trucicielskich kochankach.

W to chorobliwe niemal milczenie padło czyjeś naiwne zapytanie:

— Czy to cygaro było bardzo długie?

Zmiana toku myśli była tak nagła, że mimo woli zwrócili się wszyscy w stronę, z której zabrzmiał głos:

— Mam na myśli, — mówił ksiądz Brown z kąta pokoju — mam na myśli cygaro, które p. Brayne dopalała w salonie. Musi być chyba tak długie, jak laska spacerowa?

Mimo całej niepozorności tej uwagi, na twarz Valentina zarysowało się zarówno uznanie, jak i irytacja, kiedy podniósł głowę:

— Całkiem słusznie! — zauważył szorstko.—

Iwanie, idź jeszcze raz po pana Brayne'a i przyprowadź go tu natychmiast.

W chwili, w której jego faktotum zamknęło za sobą drzwi, zwrócił się Valentin z zupełnie nową powagą do młodej dziewczyny:

— Lady Margaret, — rzekł — wszyscy mamy dla pani uczucie wdzięczności i podziwu, żeś potrafiła się pani wznieść ponad swą codzienną godność i zechciałaś wyjaśnić postępowanie komendanta. W tem wszystkim widzę jednak jeszcze pewną lukę. O ile panią dobrze zrozumiałem, lord Galloway spotkał panią w przejściu z pracowni do salonu, a dopiero w kilka minut później spotkał komendanta, przechadzającego się po ogrodzie.

— Musi pan pamiętać, — przerwała lady Margaret z lekką ironją w głosie, — że wtedy właśnie otrzymał pan O'Brien odemnie kosza, trudno więc było, byśmy wracali razem ramię w ramię. Jest on, bądź co bądź, gentlemenem, dlatego pozostał wtyle i w ten sposób naraził się na zarzut morderstwa.

— W tych kilku chwilach — rzekł poważnie Valentin — mógł rzeczywiście...

Zapukano do drzwi i znowu wejrzała do pokoju szara twarz Iwana.

— Przepraszam, rzekł — ale pana Brayne'a niema w całym domu.

— Niema?! — krzyknął Valentin i po raz pierwszy zerwał się na równe nogi.

— Tak — zniknął, zwiął, ulotnił się — odparł

Iwan zabawnym żargonem paryskim — jego zarzutka i kapelusz przypadły także, a na domiar wszystkiego powiem państwu jeszcze jedną dziwną rzecz: Wybiegłem za bramę, aby znaleźć może jakieś ślady po nim i znalazłem jeden i to bardzo ciekawy.

— Co to znaczy? — zagadnął Valentin.

— Zaraz pokażę, — to mówiąc, zniknął i za chwilę zjawił się, trzymając w rękę nagą, połyskującą szablę, ociekającą krwią u rękojeści i ostrza.

Wszyscy obecni byli jakgdyby pod wrażeniem uderzenia piorunu, lecz doświadczony Iwan ciągnął dalej spokojnie:

— Znalazłem szablę w krzakach przy drodze prowadzącej do Paryża, jakich pięćdziesiąt jardów za bramą. Inaczej mówiąc, właśnie tam, gdzie ją podrzucił szanowny pan Brayne, kiedy uciekał.

Ponownie nastąpiło milczenie, ale tym razem było ono już innego rodzaju.

Valentin wziął szablę do ręki, badał ją i oglądał z nieudaniem i intensywnem skupieniem, po czem zwrócił pełną uszanowania twarz do O'Briena:

— Komendancie, chcę wierzyć, że na każde żądanie policji zechcesz tę broń przedłożyć, kiedy tylko okaże się potrzeba policyjnego badania. Tymczasem — dodał, wkładając ze szczękiem stal do pochwy — niech mi będzie wolno zwrócić panu pański miecz.

Zebrani z trudem tylko powstrzymali się od

oklasków na widok tego czynu, w którym było coś z żołnierskiego symbolu.

Zaprawdę bowiem, gest ten był dla Neil'a punktem zwrotnym w jego egzystencji.

I kiedy znowu przechadzał się po tajemniczym ogrodzie, który teraz przybierał kolory poranka, znikł z jego twarzy tragiczny wyraz zważenia.

Był znowu człowiekiem, który ma wszelkie dane po temu, aby się czuć szczęśliwym.

Lord Galloway był gentelmanem i poprosił go o przebaczenie.

Lady Margaret była czemś więcej, niż lady, była conajmniej kobietą; zapewne ofiarowała mu coś więcej, niż usprawiedliwienie, kiedy wczesnym rankiem snuli się we dwoje po ogrodzie, wśród grządek kwiatowych.

Wszyscy czuli wielką ulgę i byli dla siebie dużo serdeczniejsi, bo jakkolwiek zagadka śmierci nie została jeszcze rozwiązana, niemniej jednak odjęto wszystkim ciężar podejrzenia i przeniesiono go do Paryża — wraz z dziwnym milionerem, którego wszyscy zaledwie znali.

Djabeł został wygnany z domu, właściwie sam skazał się na wygnanie.

Niemniej zagadka pozostała zagadką i kiedy O'Brien usiadł w ogrodzie obok dr. Simona, chłodny i ścisły ten uczony powrócił do niej natychmiast. Nie wiele zdołał jednak wydobyć z O'Brie-

na, którego myśli krążyły wokół znacznie weselszych zagadnień.

— Nie mogę powiedzieć, aby mię to zbyt­nio zajmowało, — mówił młody Irlandczyk z całą otwartością — tem bardziej, że sprawa wydaje mi się obecnie dość jasną.

Brayne musiał mieć widocznie jakiś powód, dla którego nienawidził owego obcego. Zwabił go więc podstępnie do ogrodu i zabił swoją szablą. Potem uciekł do miasta, porzuciwszy szablę po drodze. Co więcej, Iwan powiada, że zmarły miał przy sobie w kieszeni amerykańskiego dolara, był to zatem rodak Brayne'a i ten fakt wydaje mi się decydującym. Wobec tego nie widzę żadnych trudności w wyświe­tle­niu tej całej afery.

— Co do mnie, ja widzę w tem wszystkiem pięć olbrzymich trudności, które piętrzą się jedna za drugą, niby wysokie mury. Proszę, nie chciej­mie pan źle zrozumieć, nie wątpię, że Brayne po­pełnił mor­lerstwo. Jego ucieczka wydaje mi się niezbitym tego dowodem. Ale chodzi mi o sposób, w jaki to uczynił.

Pierwsza trudność: Dlaczego miałby jeden człowiek zabić drugiego wielkim, ciężkim, niedo­godnym mieczem, skoro mógł równie dobrze doko­nać tego szyćorykiem, który byłby potem scho­wał z powrotem do kieszeni?

Druga trudność: Dlaczego nie słyszano żad­nych krzyków, ani wogóle żadnego hałasu? Czyż zdarza się, aby jeden człowiek pozwolił spokojnie

podejść do siebie drugiemu, który zamierza się na niego mieczem?

Trzecia trudność: U drzwi wchodowych stał przez cały wieczór służący, tak, że nawet mysz nie mogłaby się była dostać niepostrzeżenie do ogrodu Valentina. W jakież więc sposób dostał się do ogrodu przybysz?

Czwarta trudność: Przyjawszy te same okoliczności, w jaki sposób udało się Brayne'owi wy- dostać z ogrodu?

— A piąta? — spytał O'Brien z oczyma zwróconemi na angielskiego księdza, który wolnym krokiem zbliżał się do nich.

— O — to już drobnostka, — chociaż, jak mi się zdaje, dość osobliwa, — rzekł dr. Simon. — Kiedy po raz pierwszy badałem, w jaki sposób została głowa odcięta, zdawało mi się, że zbrodniarz ciał więcej niż raz jeden. Przy bliższych jednak oględzinach odkryłem liczne ślady uderzeń na części odciętej, innemi słowy, dokonano ich już po odcięciu głowy. Byłbyż Brayne tak potwornym w nienawiści do swego wroga, że stanął nad jego ciałem i siekł je przy świetle księżyca naoślepi szablą?

— Straszne! — rzekł O'Brien; wzdrygnął się cały.

Podczas tej rozmowy zbliżył się do nich mały księżulek i w swej charakterystycznej nieśmiałości czekał aż skończą. Wtedy dopiero odezwał się głosem dość osobliwym:

— Przepraszam najmocniej, że przeszkadzam panom w rozmowie, ale przysłano mnie tutaj, aby powiadomić panów o nowym wypadku.

— Nowym wypadku? — powtórzył Simon zdumiony, i wyteżonym wzrokiem przywarł po przez okulary do ust księdza Browna.

— Tak jest. Przykro mi bardzo! — rzekł ksiądz Brown łagodnie. — Popelniono jeszcze jedno morderstwo.

Obaj mężczyźni zerwali się z ławki tak gwałtownie, że omal jej nie przewrócili.

— Co najważniejsze. — mówił dalej ksiądz, patrząc swą matowemi oczyma na krzew rododendronu — jest to morderstwo podobnie ohydne, a mianowicie również przez odcięcie głowy.

Znaleziono nad rzeką drugą głowę ociekającą krwią, w miejscu oddalonym o kilka metrów od drogi, którą Brayne przebył. Przypuszczają tedy, że on...

— Wielkie nieba! — krzyknął O'Brien — czyżby Brayne był szaleńcem?!

— Bywają amerykańskie vendetty — odparł bezlitośnie ksiądz i po chwili dodał:

— Życzą tam sobie, abyście się panowie udali do czytelnicy i obejrzelicy głowę.

Komendant O'Brien szedł za nimi w tyle. Czuł, że jest mu wprost niedobrze z obrzydzenia. Jako żołnierz, nienawidził wszystkich skrytobójczych morderstw. Kiedyż nareszcie skończą się te niesamowite rzezie? Najpierw jedna głowa

odrabana — teraz druga. W tym jednym może wypadku — myślał z krwawą ironją — nie sprawdzi się przysłowie, które powiada, że dwie więcej są warte, niżli jedna!

Kiedy przechodził przez pracownię, omal nie zachwiał się na widok tego, co wydawało mu się wstrząsającym zbiegiem okoliczności.

Na stole Valentina leżał jaskrawy obraz. Przedstawiał on inną, znowu zakrwawioną głowę — głowę samego Valentina.

Za następnem spojrzeniem zrozumiał, co to znaczy.

Na stole leżał dziennik nacjonalistów p. t. „Gilotyna“, który każdego tygodnia przedstawiał na okładce jednego ze swych politycznych przeciwników — a raczej głowę jego z oczyma wyrwconemi w słup i wykrzywioną twarzą — tak, jakby wyglądał on po straceniu na gilotynie.

Valentin był bowiem antyklerykałem.

Ale O'Brien był Irlandczykiem, który pewnego rodzaju czystość zachowywał nawet w swoich grzechach i wszystko burzyło się w nim na myśl o tej wielkiej brutalności intelektu, która jest specjalną cechą i właściwością Francuzów.

Wyczuwał dobrze charakter Paryża, począwszy od groteskowych kościołów gotyckich, a skończywszy na trywjalnych karykaturach po gazetach.

Przypomnił sobie gigantyczne kaprysy Rewolucji.

Cale miasto przedstawiało mu się, jakby jeden zbiornik złośliwej i szpetnej energii, która przejawiała się we wszystkim — i w tym krwawym szkicu porzuconym na stole Valentina i tam, gdzie wielki szatan szczyrzy zęby wysoko ponad lasem gargoyl'ów Notre-Dame.

Czytelnia była długa, niska i ciemna. Skąpe światło, które sączyło się do pokoju poprzez wąskie okna, miało jeszcze czerwony odcień poranka.

Valentin czekał na nich, wraz ze swoim Iwanem, u głów długiej, nieco pochyło ustawionej deski, na której leżały zwłoki.

W półmroku wydawały się one niezwykle wielkie.

Duża czarna postać i żółta twarz znalezione go w ogrodzie mężczyzny pozostały zupełnie niezmienione.

Druga głowa, którą tego właśnie ranka znaleziono w nadrzecznym sitowiu, leżała obok, ociekając wodą.

Ludzie Valentina ciągle jeszcze szukali za przynależnym do niej tułowiem, który wedle wszelkich przypuszczeń pływał gdzieś na fali.

Ojciec Brown, który bynajmniej nie zdawał się podzielać nadmiernej wrażliwości O'Briena, podszedł do tej drugiej głowy; przymrużając oczy, począł się jej dokładnie przypatrywać.

Głowa wyglądała, jak jeden bezładny kołtun

mokrych siwych włosów, połyskujących srebrnym blaskiem w równomiernym świetle poranka.

Twarz brzydka i sina przypominała typy kryminalne i była mocno zniekształcona — musiała poturbować się o drzewa i kamienie, gdy wrzucono ją do wody.

— Dzieńdobry, komendancie! — rzekł Valentin ze spokojną serdecznością w głosie. Przypuszczam, że słyszał pan już o najnowszym eksperymencie Brayne'a z zakresu rzeźnictwa?

Ojciec Brown ciągle jeszcze stał pochylony nad głową pokrytą siwymi włosami, w końcu, nie podnosząc oczu, rzekł:

— Zdaje mi się, iż nie ulega wątpliwości, że Brayne odciął także i tę głowę.

— To chyba dyktuje prosty rozsądek! — odparł Valentin z rękoma w kieszeniach. Zabity w ten sam sposób, jak tamten. Znaleziony o parę jardów dalej, niż tamten. I porąbany tą samą bronią, którą, jak wiemy, uniósł Brayne.

— Tak, tak, wiem, — odparł ojciec Brown z uległością w głosie. Jednak, wie pan, że co do mnie, wątpię, czy Brayne wogóle mógł tę głowę odciąć.

— Dlaczegożby nie? — zapytał dr. Simon ze zrozumiałym zdumieniem.

— Mój doktorze — odrzekł ksiądz, podnosząc ku niemu twarz i mrugając oczyma. Czy może człowiek odciąć swoją własną głowę? Doprawdy nie wiem.

O'Brien uczuł nagle jakiś niezdrowy szum w uszach i zawrót głowy. Ale doktor zerwał się na równe nogi z niezwykłą, gwałtowną ruchliwością i odsunął wtył zmoczone siwe włosy.

— O, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to Brayne — mówił ksiądz z całym spokojem. — Miał właśnie tę oto szramę za lewem uchem.

Detektyw, który wlepił swoje połyskujące oczy w księdza, rozwarł zaciśnięte wargi i rzekł szorstko:

— Musisz sporo o nim wiedzieć, ojcze Brown!

— Tak jest! — odparł ksiądz z prostotą. — Spędziłem z nim razem kilka tygodni. Zamyślał wstąpić do naszego Kościoła.

Ogień fanatyka błysnął w oczach Valentina. Z zaciśniętą pięścią podszedł do księdza i z druzgocącym szyderstwem spytał:

— Może zamyślał także zapisać waszemu Kościołowi cały swój majątek?

— Może — rzekł Brown głupekowato. I to możliwe.

— W takim razie — mówił Valentin podniesionym głosem ze strasznym uśmiechem na twarzy — powinienes, księżo, rzeczywiście wiedzieć moc rzeczy o nim. O jego życiu i o jego...

Komendant O'Brien położył rękę na ramieniu Valentina.

— Porzuć te oszczercze głupestwa, Valentinie — przerwał mu — inaczej nie obejdzie się chyba bez dalszego rozlewu krwi!

Ale Valentin pod wpływem przeciągłego, pokornego spojrzenia księdza odzyskał już równowagę.

— A zatem — rzekł krótko — odłóżmy wszelkie osobiste kwestje na później. Was, moi panowie, obowiązuje nadal dane mi przyrzeczenie: musicie pozostać tutaj. Musicie poddać się temu przymusowi i nawzajem się do niego przekonać. Iwan pozostanie z wami i na żądanie zapozna was z wszelkimi szczegółami tej sprawy.

Co do mnie, muszę się energicznie zabrać do rzeczy: przedewszystkiem powiadomić władze. Nie możemy rzeczy dłużej utrzymywać w tajemnicy. Na wypadek, gdyby zaszło coś nowego, należy mi o tem donieść. Jestem u siebie — w pracowni.

— Czy wiesz jeszcze co o tem wszystkim, Iwanie? — zapytał dr. Simon, kiedy szef policji opuścił pokój.

— Zdaje mi się, że jedno jeszcze! — rzekł Iwan marszcząc swą szarą twarz — i to coś w swoim rodzaju ważnego. Ten stary łajdak, któregoście państwo znaleźli w ogrodzie, — to mówiąc, wskazał bez najmniejszego pietyzmu na wielki czarny kadłub z żółtą głową — jużśmy odkryli, co to za jeden!

— Doprawdy?! — zawołał zdumiony doktor. — Któż to jest?

— Nazywał się Arnold Becker — ciągnął dalej wicedetektyw — chociaż występował pod wie-

loma przybranemi nazwiskami. Był to włóczęga i nicpoń. Tyle tylko wiadomo, że był w Ameryce — w tem leży może jakiś powód, dla którego Brayne rozplątał go szablą. My mieliśmy mało z nim doczynienia, bo grasował przeważnie po Niemczech. Wiedzieliśmy o tem od policji niemieckiej. Natomiast dziwnym zbiegiem okoliczności złożyło się tak, że miał on bliźniaczego brata, Louisa Beckera, który dał nam się porządnie we znaki — tak dalece, że okazało się koniecznem zaprowadzić go pod gilotynę. Wczoraj właśnie został ścięty.

Otóż, proszę panów, może to się wydaje dość śmieszne — ale kiedy zobaczyłem trupa, jak leżał rozłożony na murawie, doznałem wstrząsu, jakiego w życiu nie miałem. Gdybym na własne oczy nie był widział, jak stracono Louisa Beckera, byłbym przysiągł, że to on leżał na trawie. Potem dopiero przypomniałem sobie jego bliźniaczego brata z Niemiec. I idąc po nitce do kłębka...

Tu przerwał Iwan swoje wyjaśnienia, z tej prostej przyczyny, że nikt go nie słuchał.

Komendant i doktor wlepili wzrok w ojca Browna, który zerwał się z krzesła na równe nogi i z całej siły ścisnął swe skronie rękoma, jak człowiek, którego chwycił nagły, gwałtowny ból.

— Przestań — przestań — przestań! — krzyknął — przestań na chwilę mówić, bo nie mogę złapać myśli! Ach Boże! — użyż mi sił! Czy zdoła mój mózg zebrać się do tego jednego skoku, któ-

ry mi wszystko rozjaśni. Umiałem przecież zaw-
sze myśleć logicznie! Umiałem niegdyć komen-
tować każdą stronę z Akwina! Głowa mi pęknie,
albo przejrzę to wszystko! Widzę tylko nawpół,
widzę tylko nawpół!

Ukrył twarz w dłoniach i stał, jakby zmar-
twiały w męczarniach jakiejś przerastającej się
jego myśli, czy modlitwy, podczas gdy tamtym
trzem nie pozostawało nic innego, jak gapić się na
tę niezwykłą scenę, ostatnią w całym szeregu nie-
zwykłości, które przeżyli w przeciągu dwunastu
godzin.

Przez kilka długich chwil zalegała pracownię
niczem niezakłócona cisza, aż wreszcie ręce księ-
dza Browna opadły i odkrył znowu jego zwykłą
spokojną i łagodną twarz.

Ksiądz Brown westchnął głęboko i rzekł:

— Tak. Trzeba to wszystko wreszcie powie-
dzieć — i to jak najprędzej. Proszę więc, posłu-
chajcie panowie — możliwe, że tą drogą najpe-
wniej i najszybciej dotrzemy do sedna prawdy.

To mówiąc, zwrócił się do doktora Simona.

— Doktorze, — rzekł — ty masz może naj-
tęższą głowę. Dziś rano słyszałem, jakieś zadawał
pięć pytań, odnoszących się do tej sprawy. Otóż,
jeżeli zechcesz je powtórzyć, gotów jestem ci od-
powiedzieć na nie.

Doktorowi Simonowi okulary zsunęły się na
nos. Pełen zdumienia i powątpiewania, odpowie-
dział jednak z miejsca:

— Pierwsze pytanie moje jest następujące: Dlaczego miałby jeden człowiek zabić drugiego wielką, niedogodną szablą, skoro może dokonać tego byle szpikulcem czy nawet igłą?

— Igłą nie można nikomu odciąć głowy, — odparł ksiądz Brown — a właśnie w tem morderstwie było odcięcie głowy rzeczą bezwzględnie konieczną.

— Dlaczego? — zapytał z wielkiem zainteresowaniem O'Brien.

— A następne pytanie? — ciągnął dalej ksiądz Brown.

— Dlaczego człowiek zamordowany nie wydał przed śmiercią żadnego okrzyku, ani wogóle nie bronił się krzykiem, ani ucieczką? — zapytał doktor. Przecież obnażona szabla w ogrodzie musi wydawać się czemś niezwykłym, podejrzanem?

— Gałązki! — rzekł ponuro ksiądz i odwrócił się do okna, które wychodziło na miejsce zbrodni. — Nikomu ni wpadło na myśl przyjrzeć się gałązkom! Proszę się tylko zastanowić, skąd wzięły się one na trawniku, tak daleko od drzewa? Nie były zerwane — po końcach ich poznać, że je od drzewa całkiem poprostu odsieczono. Morderca odwrócił widocznie uwagę swego wroga, pokazując mu jakieś sztuczki szablą, jak to on potrafił ścinać w powietrzu gałązkę, albo — czy ja wiem — coś w tym rodzaju. A kiedy nieprzyjaciel... pochylił się naprzód, aby zobaczyć efekt — jedno ciche uderzenie — a głowa odpadła.

— To wydaje mi się dość prawdopodobnem. Ale dalsze moje dwa pytania zbiją chyba wszystkich z tego tropu.

Ksiądz ciągle jeszcze wyglądał oknem, obserwując uważnie miejsce zbrodni i czekał.

— Wiadomo wszystkim, jak dalece był ogród zewsząd wprost opieczętowany murami, niby duszny, zamknięty szczelnie pokój — ciągnął dalej doktor. — W jaki tedy sposób mógł się ten obcy człowiek dostać do wnętrza?

Na to odparł księżulek, nie odwracając nawet twarzy:

— W ogrodzie nie było zgoła żadnego obcego.

Głuche milczenie zapanowało w pokoju, aż dopiero nagły wybuch dziecinnego, głupkowatego niemal chichotu rozluźnił ogólne przykre napięcie.

Niedorzeczność uwagi ojca Browna wywołała u Iwana głośny śmiech i dała mu powód do otwartych drwin.

— Ach! — zawołał — a więc myśmy wcale nie dźwigali wielkiego, tłustego cielska i nie przemieśli go wczoraj wieczór na sofę? Więc ten obcy wcale nie dostał się do ogrodu, widzi mi się?

— Czy dostał się do ogrodu? — powtórzył ksiądz Brown w zamyśleniu — Nie, niezupełnie.

— Cóż u diabła! Albo ktoś dostaje się do ogrodu, albo nie! — zawołał zniecierpliwiony doktor Simon.

— Niekoniecznie! — rzekł ksiądz z bladym

uśmiechem. — Jakież jest następne pytanie, doktorze?

— Zdaje mi się, księże, że jesteś chory! — zawołał doktor Simon ostro — Ale niech i tak będzie! Zadam ci następne pytanie: W jaki sposób zdołał się Brayne wydostać z ogrodu?

— Wcale się z ogrodu nie wydostał — rzekł ksiądz, w dalszym ciągu wyglądając oknem.

— Nie wydostał się z ogrodu? — wybuchnął Simon.

— Niezupełnie — odparł ojciec Brown.

Simon zacisnął pięści w przystępie wściekłości, która ogarniała jego francuską logikę.

— Człowiek albo wydostaje się z ogrodu, albo się nie wydostaje!! — krzyknął z pasją.

— Niezawsze — odparł znowu ksiądz Brown.

Doktor Simon, doprowadzony do ostateczności, zerwał się na równe nogi.

— Nie mam, doprawdy, czasu na takie puste gadaniny! — zawołał wściekły. — Jeżeli nie możesz tego, księże, zrozumieć, że człowiek albo znajduje się po jednej stronie muru, albo po drugiej — nie będę się więcej trudzić!

— Doktorze — rzekł bardzo łagodnie i uprzejmie ksiądz — żyliśmy ze sobą zawsze bardzo dobrze — nieprawdaż? W imię choćby tej naszej starej przyjaźni, wyzbądź się gniewu i zadaj mi piąte pytanie!

Niecierpliwy doktor opadł z powrotem na krzesło przy drzwiach i rzekł krótko:

— Głowa i kark były w dziwny sposób porażane. — Miałem wrażenie, jak gdyby zrobiono to już po śmierci ofiary.

— Tak jest — rzekł ksiądz Brown bezdźwięcznie. — Otóż to właśnie było zrobione tylko po to, aby wszelkie późniejsze rozumowania i dociekania szły po linii fałszywej, tak, jak to jest u pana. Zrobiono to w tym celu, aby potem każdy z góry przyjął, że ścięta głowa należy do ciała.

Celtycki mózg O'Briena doznał we wszystkich swych kończynach, w których rodzą się wyobrażenia wszelkiej ohydy i potworności, nagłego, silnego wstrząsu.

Jakiś chaos nadprzyrodzonych zjawisk i istot, jakichś centaurów i syren — wszystkiego, na co się zdobyć może wybujała fantazja ludzka, kłębił mu się po głowie.

Jakowyś zamierzchły głos, starszy niż głosy wszystkich jego praprzodków, zdawał się szeptać do ucha: Unikaj tego potwornego ogrodu, w którym rośnie drzewo o dwojakim owocu! Unikaj grzesznego ogrodu, w którym zginął człowiek dwugłowy!!

Ale, podczas, gdy w starem zwierciadle jego irlandzkiej duszy przesuwały się owe pierzchliwe, symboliczne postacie, sfrancuziały jego umysł zachował jednak pełną czujność i śledził niesamowicie tego księdza równie bacznie i podejrzliwie, jak tamci dwaj.

Ojciec Brown odwrócił się wreszcie i stanął

oparty o framugę okna, z twarzą pogrążoną w głębokim cieniu. Ale nawet poprzez ten cień można było dostrzec, że twarz jego była szara, jak popiół.

Niemniej jednak mówił z całą bezwzględnością, jakgdyby nie było na ziemi żadnych dusz celtyckich:

— Moi panowie! Ciało, któreście znaleźli w ogrodzie, nie jest ciałem Beckera!

Nie znaleźliście wogóle w ogrodzie żadnego obcego ciała!

Przy całym uznaniu dla logiki doktora Simona, twierdząc nadal, że Becker był w ogrodzie obecny tylko częściowo!

Spójrzcie tu! — i wskazując na czarną masę tajemniczych zwłok, dodał, — czy to prawda, że nigdy w życiu nie widzieliście tego człowieka? A może — a może przecież widzieliście go już kiedyś?

To mówiąc, jednym gwałtownym ruchem odsunął lysą, żółtą głowę nieznanego mężczyzny na bok i położył na jej miejsce głowę z białą grzywą.

I oto — kompletny, całkowity, niezawodny leżał — Juljusz K. Brayne!

— Morderca — mówił dalej spokojnie ksiądz Brown — odciął głowę swego wroga, poczem cisnął szablę daleko poza mur.

Ale był na to za mądry, aby wyrzucić tylko miecz. Przerzucił przez mur także i głowę!

— Wystarczyło, że przyłożył tylko inną głowę

wę do tułowia, aby stało się tak, jak to starał się wmówić w was w prywatnem śledztwie, aby się wam wszystkim wydało, że to zupełnie inny człowiek leży w trawie.

— Przyłożył inną głowę! — rzekł O'Brien w najwyższem zdumieniu — Jakąż inną głowę? Głowy chyba nie rosną na krzakach ogrodowych?

— Nie — rzekł ojciec Brown ochryplym głosem, a mówiąc to, patrzył na końce swoich buciaków. — W jednym tylko miejscu rosną, a tem miejscem jest kosz gilotyny, obok którego niepełna na godzinę przed popełnieniem morderstwa stał Aristide Valentin, szef policji paryskiej!

— Moi przyjaciele, zechciejcie mnie jeszcze tylko przez jedną chwilę wysłuchać w spokoju, zanim porwiecie mnie na sztuki:

— Valentin jest człowiekiem uczciwym, jeżeli można nazwać uczciwością popadanie w szal dla jakiejś problematycznej, wątpliwej, czy słusznej sprawy. Ale, czy nie wyczytaliście nigdy w tych zimnych, siwych oczach szaleństwa? Człowiek ten gotów popełnić cokolwiek — wszystko — byle tylko złamać to, co nazywał „przesądem Krzyża!“ Walczył o to swoje przekonanie, cierpiał za nie wiele prześladowań, a teraz oto w imię jego popełnił mord.

— Niezmierne bogactwa Brayne'a rozchodziły się dotychczas pomiędzy liczne sekty, tak, że tylko w niewielkim stopniu mogły zmienić równowagę rzeczy. Ale Valentin pochwyił pogłoski te-

go rodzaju, że Brayne, podobnie jak wielu chwiejnych sceptyków, zmierzał teraz do nas. To już była sprawa całkiem inna.

— Teraz byłby Brayne zasiłkami swoimi zarzucił zubożały i skory do walki Kościół francuski, wspierałby sześć nacjonalistycznych pism w rodzaju „Gilotyny“! — Szanse walki byłyby więc równe — ale ten fanatyk zapłonął żądzą jednego śmiałego, bezwzględного kroku, postanowił podjąć się ryzyka!

— Postanowił zgładzić milionera i uczynił to w taki sposób, w jaki tylko największy detektyw potrafi popełnić swą jedyną zbrodnię!

— Odciętą głowę Beckera zabrał do siebie, pod jakimś pozorem badań kryminalistycznych i schował ją do swej urzędowej skrytki.

W rozmowie z Braynem, której końca lord Galloway nie dosłyszał, usiłował go Valentin przekonać przy pomocy najrozmaitszych argumentów. A kiedy i te najwidoczniej zawiodły wyprowadził go do zamurowanego ze wszystkich stron ogrodu, mówił o sztuce obchodzenia się z mieczem, użył szabli i gałązek dla zilustrowania swych wywodów i —

Iwan skoczył i zawył:

— Ty, warjacie pójdiesz zaraz do mego pana, jak cię chwycę za —

— Właśnie tam się wybieram. Muszę go prosić o spowiedź.

Pędząc nieszczęsnego Browna przed sobą, jak

zakładnika, lub ofiarę, wpadli wszyscy razem do pracowni Valentina, która zatrzymała ich odrazu swą nagłą, niezwykłą ciszą.

Wielki detektyw siedział przy swoim biurku zbyt zajęty napozór, aby usłyszeć ich hałaśliwe wejście.

Przez chwilę stali bez ruchu, ale coś w wyprostowanej eleganckiej linii pleców Valentina kazało doktorowi nagle podbiec. Jedno dotknięcie i jedno spojrzenie wystarczyły mu, aby zobaczyć, że przy łokciu Valentina leży małe pudełko pigułek i że Valentin siedzi w swoim krześle już nieżywy.

Z niemej twarzy samobójcy biła duma—większa, niżli duma Katona.

DZIWNE KROKI

Gdybyś — mój czytelnku — spotkał kiedy przypadkiem jednego z członków wytwornego klubu „Dwunastu Prawdziwych Rybaków“, — w chwili, kiedy, wszedłszy do hotelu Vernon, składa zarzutkę, aby udać się na doroczny klubowy obiad, uderzyłby cię niezawodnie jeden szczegół: Oto, że frak jego nie jest czarny, ale — zielony.

A gdyby — przyjąwszy, że miałbyś nieustraszoną czelność ku temu, — gdybyś zapytał takiego osobnika, dlaczego jest tak niezwykle ubrany, odparłby prawdopodobnie, że czyni tak dlatego, ponieważ nie chciałby być mylnie wzięty za kelnera.

Zmiażdżony tą odpowiedzią, dasz za wygraną i o nic więcej pytać nie będziesz. A jednak omiśnałbyś w ten sposób wielkie misterjum i historję, której warto posłuchać.

Gdybyś (aby już iść dalej torem takich samych nieprawdopodobnych założeń) gdybyś spotkał gdzieś potulnego, ruchliwego księżulka, nazwi-

skiem Ojciec Brown i zapytał go, kiedy doznał największej radości w życiu, odparłby, że z pośród wielu przeżyć poszczęściło mu się najlepiej w Hotelu Vernon, w którym zdołał nie tylko zapobiec zbrodni, ale może także zbawić jedną duszę, tylko dzięki okoliczności, że w jednym z hotelowych korytarzy posłyszał był szmer ludzkich kroków.

Być może, że Ojciec Brown jest trochę dumny przez to dziwne i w swoim rodzaju niezwykle odkrycie. Dlatego nie jest wykluczone, że ci je opowie. Ale ponieważ jest rzeczą nieskończenie nieprawdopodobną, iżbyś — mój czytelniku, wniósł się kiedykolwiek do tych wyżyn społecznych, na których mógłbyś spotkać jednego z „Dwunastu Prawdziwych Rybaków“, lub przeciwnie, spadł do rzędu wyrzutków społeczeństwa i zbrodniarzy, tak nisko, iżbyś się natknął na ich spowiednika — Ojca Browna, tedy obawiam się, że nigdy nie usłyszysz tej opowieści.

Chyba, że usłyszysz ją — ode mnie.

Hotel Vernon, w którym owych „Dwunastu Prawdziwych Rybaków“ odbywało swoje doroczne zebrania, była to instytucja możliwa do pomyslenia jedynie dzięki tego rodzaju oligarchicznej klasie społecznej, która jest zupełnie zwarjowana na punkcie nieskazitelności towarzyskich manier. Hotel Vernon był jej niedorzecznym, szalonym wytworem, był przedsiębiorstwem „ekskluzywnem“, które zawdzięczało swoje istnienie tylko

temu, że nie ściągało do siebie ludzi, ale przeciwnie, odpychało ich.

W centrum świata plutokratycznego umieją być kupcy na tyle przebiegli, że potrafią się zdobyć na kaprysy wybredniejsze od kaprysów swych własnych klientów. Umyślnie wyszukają urojone trudności, aby zmusić zblazowanych magnatów do prześcigania się w trwonieniu pieniędzy i bezustannej pogoni za tem, co jest najbardziej wyszukane.

Gdyby w Londynie powstał modny hotel, do którego dostęp mieliby wyłącznie ludzie, sięgający wzrostem conajmniej sześciu stóp, nie ulega wątpliwości, że sfery towarzyskie bez namysłu zaczęłyby dawać przyjęcia, w których tylko ludzie olbrzymy mogliby brać udział.

Gdyby w Londynie istniała elegancka restauracja, dla jakiegoś widzimisię właściciela, otwarta tylko w czwartkowe popołudnia — z pewnością w owe dni byłaby szczelnie przepełniona.

Hotel Vernon stał — jakby dziwnym trafem na jednym z rogów placu Belgravia. Był to mały budynek, prymitywny i mający wiele braków — ale właśnie te braki miały służyć pewnej specjalnej kategorii ludzi, jako ochronny wał.

Szczególnie jedna okoliczność miała bardzo doniosłe znaczenie, ta mianowicie, że więcej, jak dwadzieścia cztery osoby, nie mogły w tym lokalu równocześnie zasiadać do stołu.

Wielki stół w sali jadalnej, przeznaczony dla dwudziestu czterech osób, wspaniała w swej oka-

załości, był jedynym dużym stołem, jaki hotel wogóle posiadał.

Stół ten znajdował się na otwartym tarasie, z widokiem na jeden z najwspanialszych starych ogrodów Londynu. Okoliczność, że taras był całkowicie odsłonięty, sprawiała, iż tylko w dni pogodne można było na nim obiadować. Trudność ta czyniła zabawę jeszcze bardziej pożądaną.

Właścicielem hotelu był niejaki Lever, Żyd, który robił majątek na tem, że utrudniał dostęp do swego lokalu. Zyski ciągnął stąd, że, przy całym ograniczeniu swego przedsiębiorstwa, umiał nadać mu wyszukaną wytworność i przepych. Kuchnia i piwnice dorównywały najlepszym w Europie, a personel i jego formy odzwierciedlały w każdym calu odwieczne kaprysy wyższych sfer angielskich.

Właściciel hotelu znał swoich kelnerów na wylot — było ich zresztą wszystkich razem nie więcej, jak piętnastu. Łatwiej można było zostać członkiem parlamentu, niż kelnerem — w tym hotelu. Każdy z nich był wytresowany w milczeniu i bon-tonie, jakgdyby był conajmniej prywatnym kamerdynerem dżentelmena. I w istocie, w hotelu Vernon na każdego gościa dżentelmena przypadał conajmniej jeden kelner.

Klub „Dwunastu Prawdziwych Rybaków“ za żadną cenę nie byłby urządził swej dorocznej uczyty w innym lokalu, jak w tym, który miał w sobie nieporównanie zaciszną wytworność. Samo

przypuszczenie, że inny klub mógłby ucztować w tym hotelu, wytrąciłby jego członków z równowagi.

Kiedy przypadał dzień dorocznego obiadu, Rybacy wydobywali swoje najcenniejsze srebro stołowe, jakgdyby to przyjęcie odbywało się w prywatnym domu. Szczególną pieczołowitością otaczali wspaniały serwis do ryb, w którym widelce i noże były niejako insygniami klubu. Każda pojedyncza sztuka była ze srebra i kształtem przedstawiała rybę misternej roboty — w rękojeść wprawiona była wielka perła. Tym graniturem zastawiano stół bezpośrednio przed podaniem ryby, które to danie bywało najwspanialsze, z pośród całej serji innych wspaniałości.

Klub „Dwunastu Prawdziwych Rybaków“ posiadał niezliczoną moc ceremonjałów i przepisów, ale nie miał ani swojej historji, ani żadnego celu. W tem właśnie leżała jego arystokratyczność.

Aby zostać jednym z Dwunastu Rybaków, nie wystarczyło zostać w pierw czemś, albo kimś. O ile nie było się już od początku istnienia człowiekiem pewnej specjalnej kategorii, nie wiedziało się nawet o istnieniu klubu.

Klub „Dwunastu Prawdziwych Rybaków“ istniał od lat dwunastu. Prezydentem klubu był pan Andley, a jego zastępcą ksiązę Chester.

Skoro udało mi się, przedstawić ci — mój czytelniku — do pewnego stopnia, atmosferę tego tajemniczego hotelu, spytasz, nie bez słuszności,

skąd mi to wszystko tak dobrze jest wiadome i w jaki sposób taki zwykły śmiertelnik, jakim jest mój przyjaciel Ojciec Brown, dostał się do wnętrza tej złotej galery.

Jeśli o to chodzi, powieść moja jest całkiem prosta — prawie pospolitą.

Jest na świecie jeden prastary rewolucjonista i demagog, który wkrada się nawet do najwytworzniejszych zacisz i przynosi strachem przejmującą nowinę, że wszyscy ludzie są sobie równi. A gdziekolwiek zjawia się ów głosiciel równości na swoim białym rumaku, tam Ojciec Brown, z tytułu swojego zawodu, musi za nim podążyć.

Owego popołudnia jeden z kelnerów, Włoch, został rażony paraliżem. Jego żydowski chlebowdawca pozwolił posłać czempredzej po katolickiego księdza, choć sam nie pojmował podobnych przesądów.

Mniejsza o to, co kelner wyznał Ojcu Brownowi przy spowiedzi, a mniejsza o to choćby z tej przyczyny, że ksiądz nie powtórzył tego nikomu. Ale jakkolwiek rzeczy się miały, Ojciec Brown musiał widocznie, na skutek ostatniej woli zmarłego, spisać jakoweś uwagi, lub wystawić dokument, celem przesłania komuś jakiejś wiadomości, czy sprostowania jakiejś omyłki — dość, że z taką samą łagodną bezczelnością, jaką byłby niewątpliwie okazał i w pałacu króla angielskiego, poprosił o przybory do pisania i jakiś spokojny kącik.

Mr. Lever znalazł się w kłopotcie. Był to człowiek uprzejmy, ale posiadał także tę złą formę uprzejmości, która każe unikać wszelkich scen i niemiłych sytuacji. Przytem obecność obcej osoby w jego hotelu była dlań tem, czem jest brudna plama na jasnym, czystym obrusie.

W hotelu Vernon nie było żadnego westybulu, żaden gość nie przesiadywał nigdy w hall'u, żaden obcy nie zachodził tam nawet przypadkowo. Było tylko piętnastu kelnerów i dwunastu gości.

Gdyby ktoś w swoim własnym gronie rodzinnym zastał nagle nowego brata, spożywającego, dajmy na to, śniadanie — nie byłoby to bardziej dziwne, niż widok obcej twarzy w tym hotelu. Co gorsza — zewnętrzny wygląd księdza pozostawiał wiele do życzenia, a sutanna jego była mocno za-
błocona. Gdyby któryś z członków klubu ujrzał przelotnie choćby cień księdza, nastąpiłoby w klubie wielkie przesilenie. Wobec tego, że mr. Lever nie mógł tej sromoty żadną miarą wymazać, postanowił ją przynajmniej ukryć.

Gdybyś, mój czytelniku, przestąpił kiedyś próg hotelu Vernon (co ci się nigdy nie przydarzy) — przeszedłbyś w pierwszym rzędzie krótki korytarz, obwieszony kilku szerniałami, ale cennymi obrazami, a stąd dopiero dostałbyś się do słownego hallu. Tu znalazłbyś szereg drzwi wiodących na prawo — do apartamentów hotelu — i na lewo, poprzez krótki korytarz, do biura i do kuchni. Zaraz u wejścia do hallu, w lewym kącie, mieści się

oszkłone biuro — niby jeden domek w drugim — przypominające starą piwiarnię hotelową, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, znajdowała się też ongiś w tem miejscu.

W biurze przesiadywał zastępca właściciela — w lokalu tym bowiem każdy miał swojego zastępcę i tylko niechętnie udzielał się osobiście. Tuż za biurem, po stronie wiodącej do służbowych pokoi, umieszczona była garderoba dla gości. Stanowiła ona niejako granice pańskich domenów, której nikt z gości nie przekraczał. Ponadto pomiędzy biurem a garderobą ukryty był jeszcze mały gabinet, bez drugiego wyjścia, którego właściciel używał często dla spraw ważnych a delikatnych. Tam pożyczął niejednemu baronetowi tysiąc funtów, albo odmawiał mu sześciu nensów.

Mr. Lever okazał dowód wspaniałomyślnej tolerancji, pozwalając na profonację tego świętego przybytku przez zwyczajnego księdza, który pisał tam przez prawie pół godziny. To, co O. Brown napisał, zawierało historję daleko bardziej zajmującą, niż niniejsza. Niestety, nikt jej nigdy znać nie będzie. Tyle tylko mogę o niej powiedzieć, że była dość długa i że ze wszystkich rozdziałów ostatnie dwa, czy trzy były, zdaje się, najmniej interesujące.

W tym bowiem czasie, w którym ksiądz je spisywał, myśli jego zaczęły się rozpraszać, a zmysły, które miał bardzo bystre, zwolna coraz bardziej się rozbudzały.

Nadchodziła właśnie pora, w której zapada zmierzch i zbliża się czas posiłku. Mały odosobniony gabinet, w którym siedział O. Brown, nie miał oświetlenia. Możliwe, że rosnący zmrok zaostrzał jeszcze bardziej zmysł słuchu i czynił go jeszcze wrażliwszym na wszelkiego rodzaju szmery.

Pod koniec pisania, gdy O. Brown zbliżał się już do ostatniej i najmniej istotnej części swego dokumentu, przyłapał się nagle na tem, że pisze do rytmu jakiegoś stale powtarzającego się szmeru, dochodzącego z zewnątrz — podobnie, jak myśli układają się czasem w takt stuku kół, podczas jazdy pociągiem. Kiedy O. Brown zdał sobie z tego sprawę, uświadomił sobie też zaraz, że był to odgłos kroków za drzwiami gabinetu.

Kroki za drzwiami nie należą ostatecznie w hotelu do zjawisk specjalnie rzadkich — niemniej jednak ksiądz zaczął się wsłuchiwać w ów szmer, topiąc wzrok w ściemniającym się stopniowo suficie.

Przez parę chwil nadśluchiwał nieco sennie. Nagle zerwał się z krzesła i zaczął słuchać uważniej, z głową przechyloną zlekka w bok. Potem usiadł znowu i pograżył twarz w dłoniach.

Kroki, dochodzące z zewnątrz, były w każdej poszczególnej chwili takie same, jakie usłyszeć można w każdym innym hotelu. A jednak, razem wzięte, składały się na całość dziwnie osobliwą. Poza tym jednym odgłosem nie było słyhać w hotelu żadnego innego stapania. W domu tym pa-

nowała zazwyczaj wielka cisza. Nieliczni goście, którzy go odwiedzali, udawali się wprost do swoich apartamentów, a dobrze wytresowani kelnerzy nie pokazywali się, stosownie do otrzymanego rozkazu, tak długo, jak długo nie byli potrzebni.

Trudno znaleźć miejsce, w któremby mniej się nadarzało sposobności do spostrzeżenia jakichkolwiek niezwykłych zjawisk, jak właśnie w tym hotelu. Ale kroki te były dziwne: nie można się było w żaden sposób zdecydować, czy są miarowe, czy nie?

O. Brown próbował oddać ich takt, stukając palcami po stole — podobnie, jak człowiek, który wystukuje palcami rytm słyszanej melodji.

Naprzód rozległ się odgłos szybkich, drobnych kroków, jakby lekkiego szybkiego gacza, w pewnym jednak momencie urywały się kroki te i przemieniały w rodzaj powolnego, rozkołysanego stapania, które ilościowo nie stanowiło nawet jednej czwartej poprzednich kroków, ale trwało przez taki sam odstęp czasu.

W chwili, w której ustawało stapanie, odzywał się na nowo szmer lekkiego pośpiesznego deptania, czy biegania. Po nim powtarzał się ponownie stuk ciężkiego kroczenia.

Oba te rodzaje kroków pochodziły niezawodnie od jednej i tej samej pary trzewików, dlatego, że — jak już wyżej zostało wspomniane — nie towarzyszył im żaden szmer inny, a poczęści i dlatego, że połączone były z pewnem skrzypie-

niem, nieznacznem, ale potwierdzającą najwyraźniej tożsamość ich pochodzenia.

O. Brown miał głowę tego rodzaju, że wszędzie dostrzegał jakoweś zagadki — ta zaś, pozor nie drobna, niemal rozsadzała mu czaszkę.

Widział już ludzi, biorących biegiem rozpęd do skoku i rozpnędzających się przed ślizganiem. Ale pocóż miałby ktoś brać rozpęd do chodzenia? Albo naodwrot — chodzić powoli poto, aby nagle zacząć biec? A jednak żadne inne przypuszczenie nie mogłoby wytłumaczyć osobliwych kaprysów tych niewidzialnych nóg. Człowiek, do którego należały, albo odbywał w kurytarzu jedną połowę drogi szybko, aby drugą przejść bardzo powoli, albo jedną część przebywał powoli poto, aby wziąć rozpęd i drugą skończyć biegiem.

Ale ani jedno wyjaśnienie, ani drugie, nie miało wiele sensu.

O. Brownowi wydało się, że w mózgu jego, podobnie jak w pokoju, w którym siedzi, mrok czyni się coraz gęstszy. W miarę jednak, jak zaczął myśleć coraz intensywniej, mrok cichej celi zdawał się wpływać podniecająco na bystrość jego myśli i jakgdyby w jakimś jasnowidzeniu wyobrażał sobie ksiądz, jak fantastyczne nogi w susach i krokach przybierają nienaturalne, a nawet symboliczne pozy.

Byłżeby to jakiś religijny taniec pogański? Albo może jakiś zupełnie nowy rodzaj naukowej gimnastyki?

Z coraz większą ścisłością jał sobie O. Brown zadawać pytania, co właściwie mogą te kroki zna-
czyć?

Owe powolne stąpania nie należały, z całą pe-
wnością, do właściciela hotelu. Ludzie jego typu,
jeżeli chodzą, to szybko, kołysząc się przytem
zlekka, poza tem zaś siedzą spokojnie. Człowie-
kiem podobnie krocącym nie mógł być również
żaden służący, ani posłaniec, który, przypuśćmy,
czeka na jakieś zlecenie.

Z tem się kroki te jakoś nie zgadzały.

Zdarza się w społeczeństwie oligarchicznym,
że ludzie z niższej sfery zataczają się, kiedy są
podchmieleni, ale naogół, a szczególnie w miejscu
tak wytwornem, stoją albo siedzą możliwie naj-
sztywniej.

Nie! ten, naprzemian ciężki, to znowu sko-
czny chód, pełen pewnej jakby niedbałości, nie
specjalnie hałaśliwy, ale też si nie baczący na to,
czy jest głośny, czy nie — mógł należeć tylko do
jednej listoty na kuli ziemskiej: tylko do gentlem-
na z zachodniej Europy i to prawdopodobnie ta-
kiego, który nigdy sam nie pracował na swoje
utrzymanie.

W chwili, w której O. Brown nabrał tej pe-
wności, kroki stały się znowu szybkie si ruszyły
do kurytarzu z błyskawiczną sprawnością — tak,
jakgdyby szczur przebiegł.

O. Brown zauważył, że tym razem kroki były
jeszcze bardziej przyspieszone, równocześnie je-

dnak i przytłumione zupełnie, jakgdyby człowiek za drzwiami biegł teraz na palcach. Mimo to, zjawisko nie chciało w głowie O. Browna przybrać żadnych cech jakowejś tajemniczości, kojarzyło się natomiast z jakimś niejasnym wspomnieniem, którego sobie żadną miarą nie mógł przywieść na myśl.

Jeden z tych nagłych odruchów uspionej dawno pamięci, które wytrącają znienacka z równowagi, zaczął go prześladować i dręczyć niemal do szaleństwa. Niezawodnie musiał gdzieś kiedyś posłyszeć już ten dziwny, szybki chód.

Nagle zerwał się na równe nogi i podszedł ku drzwiom: nowa myśl zaświtała mu w głowie.

Z pokoju nie było bezpośredniego wyjścia na kurytarz; jedne drzwi prowadziły do oszklonego biura, drugie zaś łączyły go z garderobą. Kiedy O. Brown chciał otworzyć drzwi wiodące do biura, spostrzegł, że były na klucz zamknięte. Zaczem spojrzął w okno, w kwadratową tafłę purpury po prutą błyskami zachodzącego słońca.

I oto — nagle — wywęszył coś złego. Tak jak pies węszy szczura.

W głowie księdza Browna strona rozumowa — mniejsza o to, czy rozumna, czy nie — wzięła znowu górę.

Przypomniawszy sobie, jak właściciel hotelu mówił, że zamknie drzwi na klucz i później przyjdzie, aby go wypuścić. Potem powiedział sobie, że ekscentryczne szmery na kurytarzu dałyby się

wytłumaczyć na x sposobów, o których przedtem nie myślał. Wreszcie przypomniało mu się, że jest jeszcze zaledwie dosyć światła na to, aby ukończyć robotę, dla której właściwie tu przesiadywał.

Zbliżył się tedy wraz ze swym rękopisem do okna tak, aby uchwycić jeszcze ostatnie promienie ponurego, dżdżystego wieczoru i z nową energią zatopił się w dokumencie, który był już prawie na ukończeniu. Przez jakich dwadzieścia minut pisał, pochylając się coraz bardziej nad papierem, w miarę, jak światło malało. Wtem nagle wyprostował się: znowu bowiem usłyszał dziwne kroki.

Tym razem zaznaczyła się w nich jeszcze jedna trzecia. Niesamowitość. Dotąd człowiek na kurytarzu kroczył z wielką szybkością i niezwykle lekko, ale w każdym razie szedł. Ale teraz już nie szedł, ale gonił. Z łatwością można było dosłyszeć z kurytarza miękki, elastyczny tupot, który przywodził na myśl susy pantery czmychającej w podskokach. Kimkolwiek był ów człowiek — musiał to być mężczyzna silny, a zarazem ruchliwy, który znajdował się w ciągłym, szarpiącym podnieceniu.

Ale i tym razem szmer ten zamarł, niby wiatr, u drzwi biurowych i potem odrazu przeszedł w stuk dawnego, rozkołysanego stapania.

O. Brown odłożył znowu papiery i pamiętając o tem, że drzwi do biura są na klucz zamknięte, skierował kroki w przeciwną stronę, do garderoby.

W garderobie nie zastał nikogo z personelu hotelowego, prawdopodobnie dlatego, ponieważ wszyscy goście byli w tej chwili przy stole, a urząd garderobianego był w tym lokalu synekurą.

Przecisnąwszy się po omacku przez szarą, zwartą gęstwę zarzutek, zauważył, że garderoba wychodzi na oświetlony kurytarz, oddzielony od niej rodzajem barjery, względnie lady, po przez którą oddaje się zazwyczaj w lokalach garderobę i otrzymuje wzamian znaczek z numerem.

Bezpośrednio ponad półkolem lady zwisała z sufitu lampa, która rzucała słabe światło na Ojca Browna i sprawiała, że rysował się wielkim ciemnym konturem na tle okna, jaśniejącego zachodzącym słońcem.

Ale od tej samej lampy biło światło jakby kinkietów, na człowieka, który stał poza garderobą — w kurytarzu.

Był to mężczyzna we fraku, elegancki i rosły, choć nie zwracający wzrostem specjalnej uwagi. Odnosiło się wrażenie, że mógłby przewinać się niepostrzeżenie tam, gdzie wielu ludzi niższych wzrostem ściągnęłoby na siebie oczy całego otoczenia i zajęłoby swoją osobą dużo większą przestrzeń.

Jakkolwiek stał odwrócony od światła, z łatwością można było dostrzec, że twarz jego jest smagła i pełna jest nerwowej ruchliwości — musiała to być twarz cudzoziemca. Postać miał doskonałą, a ruchy swobodne i pewne siebie. Co naj-

wyżej mógł mu znawca zarzucić, że wycięcie czar-
nego fraka sięga o cień poniżej pasa, sam zaś frak
jest trochę wytarty i sfałdowany.

W chwili, w której ujrzał ciemną sylwetkę
księdza na tle purpurowego zachodu, wydobył kar-
tkę z numerem i rzekł tonem uprzejmej wyższości:

— Proszę o kapelusz i płaszcz. Ale prędko.
Muszę natychmiast odejść.

O. Brown wziął w milczeniu znaczek i posłu-
szny rozkazowi, zaczął się rozglądać za zarzutką.
Nie pierwszy raz w życiu spełniał tak niskie po-
sługi. W końcu przyniósł płaszcz i położył go na
ładzie.

Tymczasem obcy jegomość sięgnawszy ręką
do kieszonki kamizelki, rzekł z uśmiechem:

— Nie mam nic srebra przy sobie — weź pan
to oto. To mówiąc, rzucił na ladę dukata i włożył
płaszcz.

O. Brown napozór ani drgnął, ale w tej samej
chwili zdało mu się, że całkiem już stracił głowę.

A głowa Ojca Browna była najcenniejsza wte-
dy, kiedy ją tracił: W takich chwilach dodawała
dwa do dwóch i w sumie otrzymywała cztery mi-
ljony.

Zdarzało się często, że Kościół katolicki, który
jest poślubiony zdrowemu rozsądkowi, bynajmniej
nie pochwalał tej drogi. Nie pochwalał jej często
i sam O. Brown. Ale w gruncie rzeczy otwierała
mu ją najprawdziwsza intuicja, niezmiernie ważna
w chwilach rzadkich przesilen — kiedy człowiek

traci do cna głowę a głowa, sama z siebie, przynosi mu zbawienie.

W takiej chwili rzekł ksiądz Brown uprzejmie:

— Zdaje mi się, że pan przecie ma nieco srebra przy sobie.

Wysoki jegomość spojrział na księdza zdumiony.

— Cóż, do licha! — odparł. — Skoro zachciało mi się dać panu dukata, nie widzę dlaczego miałby pan być niezadowolony!?

— Dlatego, że srebro jest czasem cenniejsze od złota — rzekł łagodnie ksiądz — zwłaszcza we wielkich ilościach.

Obcy pan spojrział na niego z zaciekawieniem. A potem z jeszcze większym zaciekawieniem spojrział na kurytarza, wiodącego do głównego wyjścia. Potem znowu popatrzył na Browna i bardzo ostrożnie zerknął ponad jego głowę, na okno, zalane ciągle jeszcze ciemnoczerwonym blaskiem — jedyną pozostałością minionej burzy.

Nagle zdało się, że powziął jakąś decyzję. Oparł się jedną ręką o barjerkę i przesadziwszy ją z lekkością akrobaty, jak wysoki mur wyrósł przed księdzem, chwytając go silną dłonią za kołnierz.

— Cicho! — szeptał, choć słowa jego brzmiały dobitnie. — Nie chcę ci grozić, ale...

— Ale ja chcę ci zagrozić!!—odparł O. Brown głosem podobnym do dygotu bębna. — Chcę ci za-

grozić robakiem sumienia, który nigdy nie umiera, i ogniem piekielnym, który nigdy nie gaśnie!

— Ciekawy z ciebie typ służącego! — rzekł tamten.

— Jestem księdzem, panie Flambeau i gotów jestem wysłuchać pańskiej spowiedzi — odrzekł Ojciec Brown.

Tamten stanął, jak wryty.

Po chwili, chwiejąc się, padł na krzesło.

Pierwsze dwa dania obiadu „Dwunastu Prawdziwych Rybaków“ przeszły całkiem spokojnie. Nie mam wprawdzie odpisu menu, ale gdybym go nawet posiadał, nicby z tego nikomu nie przyszło, ponieważ menu napisane było ową wyższą francuszczyzną, używaną przez kucharzy, ale zupełnie niezrozumiałą dla Francuza.

W klubie nakazywała tradycja, aby przystawki odznaczały się niezmierną różnorodnością i różnorodnością tak, że to przekraczało już granice normalnego zbytku. Ale tradycji tej trzymano się ściśle i z całą powagą, tylko dlatego, ponieważ osobliwości te były zupełnie niepotrzebne, jak zresztą cała uczta i cały klub w ogólności. Tradycja nakazywała dalej, aby zupa była lekka i bez żadnej szczególnej przyprawy. Miała ona stanowić rodzaj prostej i surowej wigilji przed właściwą biesiadą — potrawą z ryby, która następowała po zupie.

Rozmowa miała charakter owej typowej lek-

kiej pogadanki, która rządzi brytyjskiem imperjum, a rządzi niem potajemnie, którejby jednak żaden przeciętny zwykły Anglik nie zrozumiał, gdyby ją mógł posłyszeć.

Wspominano rozmaitych ministrów — nazywając ich po imieniu z pewnym odcieniem pobłażliwego znudzenia. Z najwyższem uznaniem mówiono o badzo miernej twórczości poetyckiej ministra skarbu, znanego radykała i o jego siodle do polowania — tego samego ministra, któremu partja torysów złorzeczyła za jego zdzierstwa. O przywódcy torysów, którego wszyscy liberałowie nienawidzi za despotyzm, mówiono, jakgdyby był liberałem i chwalono go też jako liberała. Odnosiło się wrażenie, że politycy mają w klubie szczególny mir — a jednak klubowców interesowało w nich wszystko inne, tylko nie ich polityka.

Prezydent klubu mr. Andley był to sympatyczny starszy pan, który nosił jeszcze kołnierzyki à la Gladstone. Był on żywym symbolem urojonego, a jednak de facto istniejącego towarzystwa.

Mr. Audley nigdy nic nie zrobił — nawet nic złego. Nie był ani światowcem, ani nawet bogaczem.

Poprostu „miał coś w sobie“ — i to zupełnie wystarczało.

Żadna partja nie potrafiłaby go zignorować, i gdyby chciał wejść w skład gabinetu, z pewnością zostałby przyjęty.

Ksiązę Chester, wiceprezydent klubu, był to

młody, dojrzewający polityk, t. zn. miły młodzie-
niec, blondyn, z piegami na twarzy, o średniej in-
teligencji i olbrzymich dobrach. Na arenie pu-
blicznej miewał zawsze duże powodzenie — a za-
sady proste. Kiedy jakiś dowcip wpadł mu na
myśl, natychmiast go opowiadał. Wtedy mówiono
o nim, że tryska inteligencją. A kiedy nie mógł
wymyśleć żadnego dowcipu, oświadczył, że „nie
pora teraz na żarty“ — wtedy nazywano go
zdolnym.

W towarzystwie prywatnem, albo w klubie,
do którego należeli ludzie jego sfery, był głupi, na-
turalny, prosty, ale przytem sympatyczny i ujmu-
jący, jak chłopak w wieku szkolnym.

Mr. Andley, będąc jednym z tych, którzy się
nigdy nie zajmowali czynnie polityką, wyrażał się
o niej poważniej, niż inni. Wprawiał nawet czasami
grono klubowców w zakłopotanie, kiedy bar-
dzo oględnie ośmielał się zauważyć, że zachodzi
mała różnica pomiędzy liberałami, a konserwaty-
stami.

On sam był konserwatystą nawet w rzeczach
osobistych: nosił fryzurę staromodną, przypomi-
nającą dawnych mężów stanu, z pękiem siwych
włosów, zwisających aż po kołnierzyk. Widziany
z tyłu, wyglądał, jak ktoś, kogo imperjum właśnie
potrzebuje. En face przypominał miłego, dbałego
o wygody starszego kawalera, który zajmuje po-
koje w najwytworniejszej części Londynu — i był
też nim w istocie.

Jak już wspomniałem, stół terasowy przeznaczony był na dwadzieścia cztery miejsc, a członków klubu było tylko dwunastu. W ten sposób mogli oni przepędzać czas uczty bardzo wygodnie, zajmując tylko wewnętrzną stronę stołu, pod murem domu, bez żadnego vis-a-vis, a natomiast z widokiem na ogród, którego barwy miały jeszcze w sobie trochę życia, chociaż wieczór zachodził ponuro — jak zwykle o tej porze roku.

Prezydent usiadł w samym środku długiego rzędu, a wiceprezydent zajął miejsce na prawym końcu stołu.

W klubie panował zwyczaj—niewiadomo dlaczego — że podczas kiedy dwunastu gości zajmowało miejsca przy stole, wtedy piętnastu kelnerów ustawiało się rzędem wzdłuż ściany, niby wojsko, prezentujące królowi broń, podczas gdy opasły gospodarz stał i kłaniał się klubowi z miną promienną i zdumioną, jakgdyby nigdy przedtem nie był nawet słyszał o jego istnieniu.

Ale zanim jeszcze odezwał się brzęk srebra, cała ta armja najemników znikła, zostawiając po sobie tylko dwóch, czy trzech do zbierania i rozdawania talerzy — ci zaś w niemem milczeniu uwijali się po terasie. Oczywista, że mr. Leyer znikł już długo przedtem wśród konwulsyjnych ataków dworskości, zbyteczne zaś i naprawdę ubliżające byłoby dodać, iż nie miał się już więcej pojawić tam w swojej osobie.

Ale kiedy wniesiono rybę, owo najważniejsze

danie, wtedy zarysował się jakiś ruchliwy cień — jakby to rzec: projekcja jego osoby, co świadczyło o tem, że mr. Lever jest i czuwa gdzieś opodal.

Owo uświęcone danie z ryby przedstawiało się — oczom pospółstwa — jako olbrzymi pudying, nadający się formą i rozmiarami do uczty weselnej. Wcale poważna liczba różnych interesujących ryb straciła dla owego pudyngu różnorodny kształt, jaki jej Pan Bóg nadał.

Dwunastu prawdziwych rybaków ujęło w dłonie swe cenne widelce i noże do ryb i zaczęło spożywać pudying z takim namaszczeniem, jakgdyby każda jego drobina kosztowała conajmniej tyle, ile każdy pojedynczy widelec, którym go jedli. Tyle też — o ile mi wiadomo — kosztowała.

Jedzeniu towarzyszyło zachłanne a gorliwe milczenie. Dopiero kiedy półmisek był już prawie pusty, młody książę zrobił uwagę przepisana rytuałem:

— Nie! Tej potrawy nigdzie nie umieją tak przyrządzać, jak w tym hotelu.

— W istocie — odparł pan Andley głębokim basem, zwracając się do mówiącego i przytakując kilkakrotnie czcigodną głową. — Niezawodnie tylko tutaj umieją ją przyrządzać. Mówiono mi, że w Café Anglais — w tem miejscu zapomniał nagle co chciał powiedzieć, ponieważ zmieniano mu właśnie nakrycie, ale po chwili odnalazł nić cennych swoich refleksyj i rzekł:

— Słyszałem, że w Café Anglais umieją ją

równie dobrze przyprawić. Tymczasem ani się nie umywa! — dodał, potrząsając głową bezlitośnie, jak sędzia-kat. — Ani się nie umywa!

— Tamten lokal jest już przesądzony! — rzekł niejaki pułkownik Pound — odzywając się po raz pierwszy od szeregu miesięcy — na takiego przy najmniej wyglądał.

— O, co to, to niewiadomo! — odparł książe Chester, który był optymistą — właściwie do pewnych celów doskonale się nadaje. Nie można go wprawdzie porównać z..

W tej samej chwili kelner jakiś jak strzała przemknął obok stołu i nagle zarył się w miejscu. Przystanął tak cicho, jak cicho przedtem przeleciał. Ale wszyscy ci osobliwi, a dobrze ułożeni panowie tak przywykli do tego, aby cała niewidzialna prawie maszynerja hotelu funkcjonowała sprawnie i była na każde ich skinienie, że doznali gwałtownego wstrząsu na widok kelnera, który robi nagle coś wbrew przepisom. Doznali podobnego uczucia, jak człowiek któremuby niespodzianie martwy świat odmówił posłuszeństwa — gdyby n. p. krzesło zaczęło przed nim uciekać.

Tymczasem kelner stał przez parę chwil nieruchomo, wlepiwszy niemy wzrok w gości, podczas gdy na ich twarzach zarysował się głęboko i dziwnie — wstyd. Ów typowy i wyłączny wytwór naszego wieku. Wstyd, który jest mieszaniną modnej humanitarności i tej potwornej, cał-

kiem nowoczesnej przepaści, jaka oddziela duszę bogacza, od duszy nędzarza.

Prawdziwy arystokrata, taki z „drzewem genealogicznym“, byłby cisnął w kelnera pierwszym lepszym przedmiotem, który miał pod ręką, począwszy od próżnej butelki, a skończywszy na pieniądzach.

Prawdziwy demokratą zapytałby go poprostu, po koleżeńsku — co do licha tu robisz?

Ale ci modni plutokraci nie mogli wogóle znieść obecności biednego człowieka, obojętnie, czy był nim niewolnik, czy przyjaciel.

To, że wśród służby nie idzie wszystko, jak należy — dotknęło ich tylko niemile i wprawilo w silne zakłopotanie. Nie chcieli postąpić brutalnie, z drugiej zaś strony wstydzili się zbytnej łagodności, dlatego woleli pozbyć się czempredzej całej tej sytuacji, bez względu na to, o co chodziło.

Życzeniu ich stało się wnet zadość, bo oto kelner, który przez krótką chwilę stał wryty w ziemię, jak kataleptyk, nagle obrócił się na pięcie i jak szalony wypadł z tarasu. Ale po chwili zjawił się znowu.

Tym razem stanął w progu w towarzystwie innego kelnera, z którym zaczął rozmawiać szeptem, gestykulując przytem żywo z iście południowym temperamentem.

Po chwili ów pierwszy kelner zniknął, zosta-

wiając w progę swego towarzysza. wkrótce jednak wrócił z trzecim kelnerem.

A kiedy czwarty przyłączył się w końcu do tego zaimprovizowanego synhedrjonu, wtedy mr. Andley, w obronie taktu, uznał za stosowne przełamać milczenie. Zakaszłał tedy głośno (miało to oznaczać to samo, co dzwonek prezydjalny) i rzekł:

— Młody Moocher dokazuje cudów w Burmah. Żadne inne państwo na świecie.

Wtem piąty kelner wpadł na taras i zbliżywszy się do prezydenta, szepnął mu do ucha:

— Najmocniej przepraszam, ale chodzi o ważną rzecz. Czy gospodarz może pomówić z jaśnie panem?

Prezydent zdębiał i w niemem osłupieniu patrzył, jak Lever zbliża się do niego, przestępując szybko z nogi na nogę. Poczciwina szedł napozór spokojnie, tylko twarz jego, która zazwyczaj była koloru miedzi, wydawała się teraz chorobliwie żółtą.

— Proszę mi wybaczyć, mr. Andley! — rzekł z astmatyczną dusznością w głosie—stała się rzecz bardzo przykra: pański garnitur do ryb, wraz z widelcami i nożami, został sprzątnięty!

— No, spodziewam się! — odparł prezydent, a w głosie jego można było wyczuć cieplejszą nutę.

— Co?! Więc pan go widział? — spytał zirytowany gospodarz, dysząc ciężko. — Widział pan

tego kelnera, który porwał srebro? Czy pan go może zna?

— Czy ja go znam? Czy ja znam kelnera?!
— powtórzył mr. Andley z oburzeniem. — Naturalnie, że nie!

Mr. Lever rozpostarł ręce z wyrazem głębokiej rozpaczyny i rzekł:

— Przecież ja go wcale nie posyłałem! Nie wiem nawet, kiedy przyszedł i poco! Posyłam mego kelnera, aby zebrał ze stołu — on idzie — a tu już ani śladu srebra!

Mr. Andley ciągle jeszcze miał minę zbyt zmieszana, jak na człowieka, którego potrzebuje Imperjum.

Wszyscy goście oniemieli. Tylko mr. Pound, ów pułkownik, manekin, który wyglądał, jakby był przegalwanizowany w jakieś inne nienaturalne życie, wstał sztywnym ruchem z krzesła, nałożył szkła na nos i rzekł ochrypłym, przytłumionym głosem, jakgdyby już nawpół był zapomniał, jak się wogóle mówi:

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że ktoś ukradł nasz srebrny serwis do ryb?

A kiedy gospodarz z wyrazem jeszcze większej beznadziejności, potwierdził obawę rozpaczliwym ruchem rąk — wtedy wszyscy goście w okamgnieniu zerwali się z krzeseł.

— Czy wszyscy pańscy kelnerzy są w hotelu obecni? — zapytał pułkownik niskim, ostrym głosem.

— Tak, wszyscy—sam to zauważyłem!—uprzedził gospodarza młody książę, wsuwając swoją chłopięcą twarz w sam środek pierścienia, który utworzyli goście klubowi wokół gospodarza. — Ilekroć tu przychodzę, zawsze ich rachuję — tak śmiesznie wyglądają, kiedy wszyscy razem stoją rzędem pod ścianą!

— Ależ tego przecie nie można dokładnie spa-
miętać! — Zauważył niepewnie mr. Andley.

— Powiadam panu, że pamiętam całkiem do-
kładnie! — krzyczał podniecony książę. — Nigdy
nie było ich więcej jak piętnastu, i przysięgłbym,
że dziś ich także więcej nie było! Nie mniej i nie
więcej!

Gospodarz patrzył na niego cały drżący i zdumiony. W końcu wybełkotał:

— Więc — pan twierdzi, że widziałeś wszyst-
kich moich piętnastu kelnerów?

— Tak, jak zazwyczaj — potwierdził duke.—
Nie widzę w tem nic dziwnego.

— Nic — odrzekł Lever ponuro — tylko, że
tak się sprawa mieć nie może, ponieważ jeden
z nich leży na górze nieżywy.

Nastąpiła dreszczem przejmująca cisza.

Być może — wszak taką wielką wszechwła-
dzą ma w sobie słowo „śmierć“ — że każdy
z tych ludzi, nie mających nic do roboty, spojrział
przez chwilę głęboko w siebie i ujrzał duszę
swoją, zaschniętą, jak nikłe ziarnko grochu. A na-
wet jeden z nich — zdaje mi się, że był nim książę

żę — odezwał się tonem głupkowatej uprzejmości, która jest wyrazem dostatniego próżniactwa:

— Czy możemy panu w cześ pomóc?

— O, dziękuję. Książd był już u niego — rzekł żyd, nie bez wzruszenia.

Potem, jakby po przejściu echa sądu ostatecznego, wszyscy się ocknęli i powrócili na nowo do życia. Przez parę niesamowitych chwil mieli w istocie wrażenie, jakgdyby piętnastym kelnerem był duch zmarłego. Czas jakiś trwali w tem nieprzyjemnem uczuciu — duchy bowiem wprawiły ich w podobne zakłopotanie, jak nędzarze.

Ale kiedy przypomnieli sobie, co zaszło, urok cudu prysnął nagle i wywołał tylko brutalną reakcję. Pułkownik przeskoczył krzesło i ruszył do drzwi.

— Przyjaciele — zawołał — jeżeli znalazł się tutaj piętnasty mężczyzna, to tym piętnastym niezawodnie musiał być złodziej! Czempředzej zatem obstawmy wszystkie drzwi, a wszelką dyskusję odłóźmy na później. Musimy koniecznie wrócić do posiadania owych dwudziestu czterech pereł, które były własnością klubu!

W pierwszej chwili zdawało się, że mr. Andley zastanawia się głęboko nad tem, czy dzentelmenowi przystoi śpieszyć się w czemkolwiek, ale kiedy zobaczył, jak książę z młodzieńczą energją przeleciał schody, podążył za nim z szybkością, która bardziej odpowiadała jego wiekowi.

W tem szósty kelner wbiegł na taras z wia-

domością, że na kredensie znalazł się cały stos srebrnych talerzy, ale że z widelców ani nożów. niema ani śladu.

Tymczasem grono gości i służba, którzy przebiegli w bezładnym pośpiechu kurytarz, rozdzielili się na dwie grupy. Większość Rybaków ruszyła za gospodarzem, aby zbadać i obstawić wszystkie wyjścia z budynku, pułkownik Pound zaś, wraz z prezydentem, wiceprezydentem i jeszcze kilku innymi zwrócili się na kurytarze wiodące do pokoi służbowych, przypuszczając, iż jest bardziej prawdopodobne, że złodziej tędy uciekał.

Tak dotarli do ciemnej niszy garderoby, w której ujrzeli jakiegoś człowieka niskiego wzrostu, w długim czarnym surducie. Człowiek stał w cieniu, cofnięty nieco wgląd i przypuszczalnie należał do personelu hotelowego.

— Hej tam! czy nie widzieliście tutaj nikogo?

Mały człowieczek, nie odpowiadając wprost na pytanie, odrzekł:

— A może mam właśnie to, czego panowie szukacie?

Obecni zamilkli zdumieni, podczas gdy mały człowiek najspokojniej w świetle podszedł na drugą stronę garderoby i powrócił, trzymając w rękach cały stos lśniącego srebra, które wyłożył na ladę z takim spokojem, z jakim kupiec wyklada towar. — Były to zaginione widelce i noże.

— To ty! — wyjąknął pułkownik, straciwszy nareszcie panowanie nad sobą. Potem wsunął

głowę do ciemnego pokoiku i ujrzał dwie rzeczy:

Po pierwsze, że mały człowieczek nosił strój księdza, a po drugie, że szyba w oknie była zbita, jak gdyby ktoś w sposób gwałtowny tamtędy uciekł.

— Zbyt to cenne rzeczy, aby je przechowywać w garderobie — nieprawdaż? — zauważył ksiądz wesoło.

— Czy to pan je — ukradłeś? — wyjąkał zdumiony mr. Andley.

— Jeżeli ukradłem, to je przynajmniej zwracam! — odparł jowialnie ksiądz.

— Ale pan tego nie uczynił!? — rzekł pułkownik Pound, ciągle jeszcze zapatrzony w stłuczoną szybę.

— Jeśli mam już rzec prawdę — muszę przyznać, że nie — odparł tamten z humorem w głosie i z całą powagą usiadł na krzesło.

— Ale wiadomo panu, kto to ukradł?! — spytał pułkownik.

— Jak się nazywa tego nie wiem — odpowiedział ksiądz spokojnie. — Wiem tylko coś niecoś o jego sile fizycznej, a dużo — o jego rozterkach duchowych. O tych fizycznych właściwościach urobiłem sobie zdanie, kiedy mnie usłował udusić, a o moralnych — kiedy żałował swoich grzechów.

— No, doprawdy! — zawołał młody Chester i zaśmiał się jaskrawo na całe gardło.

Ojciec Brown wstał z krzesła i zakładając ręce na grzbiecie, rzekł:

— Prawda? Jakie to dziwne, aby złodziej i włóczęga żałował grzechu, kiedy jest tyle bogactw czy swawolnych i lekkomyślnych, których życie jest bezowocne dla Boga i ludzi?! Ale wybaczcie, moi panowie! Tu już jest granica dla was zamknięta, tu wkraczacie w moją dziedzinę! A jeżeli wątpicie w skruchę, oto dowód najprawdziwszy i realny — wasze widelce i noże. Jesteście rybakami — oto wasze srebrne ryby. Ale On uczynił mnie rybakiem ludzi.

— Czy złowiłeś, księżu, tego człowieka? — spytał, marszcząc brwi pułkownik.

— Tak. Złowiłem go na niewidzialny haczyk — mówił O. Brown, patrząc prosto w nasróżoną twarz pułkownika — i na niewidzialną wędkę, która jest tak długa, że lada jej drgnięciem mógłbym go tutaj napowrót przywieść, choćby poderwał na koniec świata!

Nastąpiło długie milczenie, potem powoli zaczęli się wszyscy rozchodzić w różne strony, aby pokazać srebro towarzyszom, lub naradzić się z gospodarzem nad tem, jak należy w tej dziwnej aferze dalej postąpić.

Tylko jeden pułkownik pozostał i usiadł z posępną miną na skraju lady kołysząc długiemi, chudemi nogami i przygryzając czarnego wąsa. — W końcu rzekł spokojnie do księdza:

— Musiał to być sprytny gość, ale znam jeszcze sprytniejszego!

— W istocie, był to spryciarz — odparł

O. Brown — ale, co do tego drugiego — nie wiem dobrze, kogo pan ma na myśli?

— Pana, oczywiście! odpowiedział pułkownik z uśmiechem. A teraz niech mnie ksiądz zechce wysłuchać: Nie mam bynajmniej zamiaru dać przymknąć tego złodziejaszka. Jeśli o to chodzi, możesz być, mój księże, całkiem spokojny. Ale dałbym jeszcze dużo srebrnych widelców za to, żeby się dokładnie dowiedzieć, w jaki sposób zostałeś wmieszany w tę sprawę i jak wydostałeś od niego nasze rzeczy?! Zdaje mi się, że z pośród nas wszystkich — jesteś, mój księże — największy szelma!

Ojcu Brownowi spodobała się najwidoczniej żołnierska szczerłość pułkownika. Z uśmiechem tedy rzekł:

— Nie wolno mi, co prawda, powiedzieć czegośkolwiek o nazwisku tego człowieka, ani o jego historii — to się rozumie samo przez się. Ale nie widzę powodu, dla którego nie miałbym przedstawić panu czysto zewnętrznych faktów, które wykryłem.

Mówiąc to, z nieoczekiwaną zręcznością przeskoczył barjerę i przysiadł się do pułkownika, kołysząc krótkimi nogami, jak mały chłopak, który siadł sobie gdzieś na płocie. Potem zaczął opowiadać z taką swobodą, jakgdyby przy ciepłym kominku rozmawiał z przyjacielem.

— Siedziałem zamknięty w tym oto pokoiku, w którym miałem coś ważnego do napisania, gdy

wtem usłyszałem, jak jakaś para nóg odbywa na kurytarzu taniec — taki dziwny — jakby taniec śmierci. Naprzód usłyszałem szereg drobnych, szybkich kroków, które wydały mi się trochę śmieszne i sprawiały wrażenie, jakgdyby ktoś założył się, że potrafi szybko chodzić na palcach. Po tych krokach nastąpiły inne — powolne, niedbałe, skrzyżujące kroki, przypominające stąpanie wysokiego mężczyzny, który przechadza się, paląc cygaro. W każdym razie jednak mogłem być przysiąc, że tak jeden rodzaj chodu, jak i drugi, pochodzi od jednej i tej samej pary nóg i że jeden kolejno następuje po drugim — naprzód bieg, potem powolne stąpanie, potem znowu bieg i t. d.

Odrazu trochę mnie to zastanowiło — wreszcie zacząłem sobie łamać głowę nad tem, dlaczego człowiek ów gra równocześnie dwie role? Jeden rodzaj chodzenia był mi znajomy — był to, mniej więcej, chód pański, chód tęgiego mężczyzny, który w wyczekiwaniu na kogoś, lub na coś, przechadza się nietyle z braku cierpliwości, ile z wrodzonej potrzeby ruchu. Wiedziałem, że ten drugi sposób chodzenia jest mi także znajomy, ale w danej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, kogo on znamionuje? Jakież to dziwne stworzenie mogłem spotkać w moich wędrówkach, któreby biegło tak dziwnie na palcach?

Wtem doleciał mnie skądś brzęk talerzy — i w tej samej chwili odpowiedź leżała przedemną jasno, jak na dłoni: Był to chód kelnera — ten ty-

powy bieg z ciałem pochylonem wprzód, oczyma spuszczonemi wdół, z odchylonemi połami fraka i powiewającą serwetą.

Potem — przez chwilę myślałem bardzo intensywnie. I oto, nagle, ujrzałem zbrodnię. Tak wyraźnie, jakgdyby ją sam miał wykonać.

Pułkownik Pound patrzył bystro na księdza, ale łagodne szare oczy mówiącego tkwiły w suficie, z wyrazem bezmyślnej prawie zadumy.

— Zbrodnia — ciągnął O. Brown dalej — jest jak każde inne dzieło sztuki. Proszę się temu tak bardzo nie dziwić! Zbrodnie bynajmniej nie są jedynemi dziełami, które rodzą się w kuźni piekielnej. Ale każde dzieło sztuki — boskie, czy djabełskie — nosi w sobie to jedno niezbędne znamię, iż w samym założeniu swoim jest niesłychanie proste, nawet wtedy, kiedy wykonanie jego jest skomplikowane.

Tak tedy, dajmy na to, w Hamlecie, groteskowość grabarza, kwiaty szalonej dziewczyny, fantastyczna wykwinność Ozryka, niesamowita bladeść ducha szydercza mina czaszki — wszystko to spleta się w wieniec różnych osobliwości dokoła jednej prostej tragicznej postaci jednego człowieka w czarnym stroju.

Otóż ten nasz wypadek zawiera także prostą tragedję człowieka w czarnym stroju — mówił O. Brown z uśmiechem, a widząc zdziwienie na twarzy pułkownika, dodał:

— Tak, mój pułkowniku — wszystko w tej hi-

storji obraca się dokoła czarnego stroju. I tutaj, podobnie jak w Hamlecie, mamy rozliczne rokokowe akcesorja — rolę ich spełniliście wy wszyscy, moi panowie! Dalej jest w tej historii umarły kelner i w tem właśnie leży efekt, że tak jest — chociaż mogło tak wcale nie być. Jest niewidzialna ręka, która sprzątnęła wam srebro ze stołu — i znikła..

Ale każda zbrodnia sprytnie obmyślona, opiera się, koniec końców, na jakimś, całkiem prostym, fakcie — który sam dla siebie nie jest wcale tajemniczy. Cała mistyfikacja polega na tem, aby sam fakt zakryć i odwrócić od niego uwagę otoczenia.

Ta subtelna zbrodnia, zakreślona na wielką skalę i — jak się to zwykle zdarza — ogromnie zyskowna, opierała się na tym prostym fakcie, że strój dżentelmena jest identyczny ze strojem kelnera. Wszystko inne było już tylko grą aktorską — swoją drogą, grą niebyle jaką!

— Zdaje mi się, że jeszcze ciągle dobrze nie rozumiem — rzekł pułkownik, podnosząc się z ławy, z oczyma spuszczonemi w dół i czołem zmarszczonem.

— Pułkowniku! — odrzekł O. Brown. — Powiadam panu, że ten archanioł bezwstydu, który ukradł waszą zastawę, przeszedł ten kurytarz ze dwadzieścia razy w olśniewającym blasku lamp i w oczach wszystkich tutaj obecnych! Nie krył się po kątach — tam, gdzie podejrzenie mogłoby

go szukać. Przeciwnie — był zawsze tam, gdzie pa-
nował największy ruch, a więc w jasno oświetlo-
nych kurytarzach — a gdziekolwiek się znalazł,
czynił wrażenie, jakgdyby miał wszelkie prawo ku
temu, aby się tam właśnie znaleźć!

Jak wygląda? — O to mnie nie pytajcie. Wy-
sami widzieliście go dzisiaj conajmniej sześć, do
siedmiu razy. Ty, mój pułkowniku, byłeś wtedy,
wraz z innymi dostojnymi gośćmi, za tym oto ku-
rytarzem w wielkiej sali, która wychodzi na taras.
Ilekcroć zjawiał się on wpośród was, przychodził
w charakterze typowego kelnera, przelatywał błys-
kawicznie z głową zwieszoną i powiewającą ser-
wetą — wtedy przestępował szybko z nogi na no-
gę! Jak strzała wpadał na taras, krzątał się koło
stołu i wypadał znowu, lecąc w kierunku biura i po-
koiów służbowych.

W tej samej chwili jednak, w której natrafiał
na kogoś ze służby, stawał się odrazu w każdym
cału innym człowiekiem — instynktownie zmieniał
każdy swój ruch i gest. Przechodził obok służby
z tą samą bezczelną obojętnością, jaką ona przy-
wykła widywać u swoich panów. To, że jakiś wy-
twornis przechadza się po wszystkich zakątkach
domu, jak zwierzę po zwierzyńcu, nie było dla nich
nowością. Wiedzieli o tem dobrze, że nic nie jest
tak charakterystyczne dla tych ludzi nienaganne-
go pokroju, jak to, że zazierają wszędzie, gdzie im
się spodoba.

Ilekcroć znudziła mu się przechadzka po tym

jednym kurytarzu, przenosił się gdzie indziej — w okolice biura i bocznych ubikacyj. Tam, w cieniu łuku, za który się krył, zmieniał się znowu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, i nagle jako uniżony sługa, gnał zpowrotem pomiędzy Dwunastu Rybaków.

Z jakiej racji miałby dżentelmen dostrzegać pierwszego lepszego kelnera? Albo z jakiej racji miałby kelnerzy podejrzewać wytwornego dżentelmena, który spaceruje tam i sam po lokalu?

Raz, czy dwa, urządził on, z najzimniejszą krwią parę kawałów. W tej części hotelu, która jest już prywatnem dominjum gospodarza, kazał sobie podać syfon, dodając, że ma pragnienie. Z całą swobodą oświadczył kelnerowi, że sam go sobie zanieśie i tak też uczynił. Szybko i zręcznie poniósł syfon pośród was wszystkich — niby kelner, który wykonuje czyjeś zlecenie.

Oczywista, że długo nie mógłby grać tej roli, ale wystarczyło grać ją tak długo, dopóki spożywano rybę.

Najgorszą była dlań chwila, w której kelnerzy ustawili się rzędem pod murem — ale nawet wtedy umiał tak sprytnie oprzeć się o róg muru, że w tej jednej, jedynej, ale tak ważnej chwili, kelnerzy wzięły go za dżentelmena, a dżentelmeni — za kelnera.

Wszystko inne poszło gładko. Kiedykolwiek kelner jakiś natknął się na niego, spotykał zblazowanego arystokratę. Potem — dość mu było jed-

nej sekundy, aby się przygotować do drugiej roli i tuż, zanim uprzątnięto rybę, stać się zwinnym kelnerem i samemu sprzątnąć srebro. Talerze złożył na kredensie, a zerknąwszy uważnie na widelce i noże, wetknął je do kieszeni i jak zając pognął dalej — tym razem do garderoby.

Słyszałem na własne uszy, jak pędził. I tam znowu przemienił się w plutokratę — plutokratę, który nagle, w pilnej sprawie, został odwołany i musi przed czasem odejść.

Wystarczyło tylko oddać znaczek z numerem garderobianemu, aby móc wyjść z tą samą dystynkcją, z jaką przedtem był wszedł. Tylko — tylko, że przypadkowo tym garderobianym byłem—ja.

— Cóż on na to?! spytał pułkownik niezwykle podniecony. — I cóż ksiądz z nim począł?!

— Najmocniej przepraszam — odrzekł O. Brown niewzruszony, — ale na tem kończy się moje opowiadanie.

— A to, co jest najwięcej zajmujące — dopiero się zaczyna! — mruczał Pound. — Zdaje mi się, że jego fachowe tricki zrozumiałem — ale, co do księdza — doprawdy, że nic się w nim nie wyznaję!

— Czas już na mnie — zauważył Ojciec Brown, podnosząc się z miejsca.

Przeszli razem długi kurytarz, aż doszli do hall'u. Tam ujrzeli świeżą, piegowatą twarz księcia Chester, który w wesołych podskokach biegł naprzeciw nich.

— Chodźno tu, Pound! — wołał bez tchu. — Szukam cię wszędzie. Diner na nowo rozpoczęty, i to w wielkim stylu! Stary Andley ma wygłosić mowę na cześć odzyskanego srebra. Wiesz? — chcemy wprowadzić nową ceremonjał na pamiątkę tego wydarzenia. Pomyśl, żeśmy nasze srebro odzyskali! — Więc co pan proponuje?

— Ja byłbym za tem, żebyśmy odtąd nosili zamiast czarnego fraka — zielony — rzekł pułkownik, patrząc z sardoniczną miną na księcia. — Nie można nigdy wiedzieć, jakie może zająć nieporozumienie, jeśli się wygląda, jak kelner!

— Ależ jakże to!? Przecież dżentelmen nigdy nie wygląda, jak kelner! — rzekł młody człowiek.

— Ani kelner, jak dżentelmen — zdaje mi się — odparł pułkownik, ciągle jeszcze uśmiechając się ironicznie. — Twój przyjaciel, wielebny księżę, musiał być bardzo wytworny, skoro potrafił tak dobrze zagrać rolę dżentelmena!...

Ojciec Brown zapiął szczelnie wytarty płaszcz aż pod szyję, jako że noc nadchodziła dżdżysta, ujął w rękę swój prostacki parasol i rzekł:

— Tak! — bardzo to ciężko być dżentelmem, ale wie pan? — nieraz już o tem myślałem, że może równie ciężko jest — być kelnerem...

Po tych słowach życzył obu panom dobrej nocy i pchał ciężkie odrzwia tego pałacu rozkoszy. Złote wrota zamknęły się za nim, a on rażnym krokiem ruszył przez mgliste ulice, śpiesząc się, aby złapać jeszcze omnibus.

LATAJĄCE GWIAZDY

— Największa zbrodnia, jaką kiedykolwiek popełniłem, była zarazem, dziwnym zbiegiem okoliczności, moją ostatnią zbrodnią — zwykł mawiać Flambeau w swej wielce już moralnej starości — a dokonałem jej w pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Jako artysta, starałem się zawsze stosować zbrodnie moje do pory roku, lub do krajobrazu, na tle którego je popełniałem. Wybierałem dla ich kulminacyjnego punktu ten lub ów taras, czy park tak troskliwie, jak się wybiera miejsce pod grupę posągów.

Uważałem, że np. arystokratów należy podchodzić w przestronnych, półmrocznych komnatach, wykładanych dębem drzewem, podczas gdy, przypuśćmy, Żydów powinno się doprowadzić do tego, aby się nagle i niespodziewanie znaleźli bez pieniędzy wśród rzeszystych światel, czy w separatach Café Riche. Kiedy w Anglii usiłowałem raz pozbawić majątku jakiegoś proboszcza — co by-

najmniej nie jest tak łatwe, jakby można przypuścić — starałem się go osaczyć, że tak powiem, oprawić w ramy zielonej murawy i szarych wieżyc pewnego katedralnego miasta. Podobnie we Francji, kiedy udało mi się raz wydostać pieniądze od bogatego i nieużytego wieśniaka — co jest sztuką prawie, że wręcz niemożliwą — miałem chwile najprawdziwszej satysfakcji, widząc potem zdaleka, jak oburzony, stał niby płaskorzeźba na tle długiego rzędu ściętych topoli i tych szlachetnych równin Galji, nad któremi w zadumie unosi się potężny duch Millet'a.

Owóż ostatnia moja zbrodnia była świąteczna, była to wesoła, pogodna angielsko-burżuazyjna zbrodnia, była to zbrodnia dickensowska. Popeliłem ją w dobrym, starym, mieszczańskim domu w pobliżu Putney, w domu z wielką aleją dojazdową, w domu ze stajnią u boku i tablicami z nazwiskiem u obu zewnętrznych bram, w domu z drzewem senegalskiem. Dostyc, znacie przecie ten rodzaj domów.

Uważam zaprawdę, że moja imitacja stylu Karola Dickensa była wierna i literacka. Jest mi niemal żal, że wówczas, jeszcze tego samego wieczora, żałowałem grzechu..

Potem, bywało, opowiadał Flambeau przebieg całej historji, od „strony wewnętrznej“ i nawet od tej strony historja była bardzo dziwna. Aliści na zewnątrz była już zupełnie niepojęta. Oto jest wła-

śnie owa historia widziana od zewnątrz, i od tej strony też należy ją studjować.

Z tego punktu widzenia możnaby przyjąć, że cały dramat zaczyna się od tej chwili, w której otwarły się drzwi domu, niepozbawionego stajni, i na ogród z drzewem senegalskiem wyszła młoda dziewczyna, niosąc chleb, aby nakarmić ptaszki w dzień Bożego Narodzenia. Była to ładna panna o piwnych oczach, które spoglądały śmiało przed siebie. Tak szczelnie otuliła się w brązowe futro, że trudno było stwierdzić, gdzie są jeszcze włosy, a co jest już futrem. Gdyby nie jej urocza twarz, mogłaby być z łatwością małym, niezgrabnym niedźwiadkiem.

Zimowe popołudnie zachodziło czerwoną łuną i na ogród, ogołocony z kwiatów, zaczynały słać się rubinowe poblaski, zakwitając nad grządkami, niby duchy umarłych róż. Po jednej stronie domu stała stajnia, z drugiej zaś wiodła aleja, czy krużganek wawrzynów do przestronniejszej, w głębi położonej części ogrodu. Młoda dziewczyna rozdrobiła bułkę dla ptasząt (po raz czwarty, czy piąty tego dnia, za każdym razem bowiem pies zjadał okruszki), potem niepostrzeżenie przeszła na prostą ścieżkę, obsadzona wawrzynami, i doszła nią do miejsca, gdzie zdaleka już połyskiwały pęki gęsto rosnącego barwniku. Przybywszy tutaj, wydała okrzyk zdziwienia — prawdziwy, czy też umówiony — na szczycie sterczącego ponad nią muru

ujrzała bowiem jakąś postać, która właśnie z wielką fantazją przelazła przez mur.

„Och! niech pan nie próbuje zeskoczyć, panie Crook“ — zawołała zaniepokojonym głosem — „to za wysoko!“

Zjawiskiem, które przebyło mur, był wysoki, kanciasty młody człowiek o ciemnej szczeciniastej czuprynie, sterczącej na podobieństwo szczotki, o rysach inteligentnych, a nawet wybitnych. Cera miała bladą i wyglądał prawie na cudzoziemca. Bładość jego występowała jeszcze silniej w kontraście z czerwonym, w oczy bijącym krawatem — jedyną częścią garderoby, do której wogóle zdawał się przywiązywać jakąś wagę. Być może, że krawat ten miał znaczenie wprost symboliczne...

Młody człowiek, nie bacząc na napomnienie, w którym przebijała się obawa, jednym susem, jak konik polny, zeskoczył lekko na ziemię, choć przytem mógł był z łatwością złamać nogę — i stanął przy dziewczęciu.

— Mam wrażenie, że mógłbym uchodzić za złodzieja — rzekł łagodnie — i niewątpliwie wziętoby mnie za takiego, gdyby nie ten szczęśliwy traf, że urodziłem się bardzo blisko stąd — w tamtym oto domku, a wobec tego niema w tem chyba nic złego...

— Jak może pan coś podobnego przypuszczać!? — zaprotestowała.

— Bo, widzi pani, skoro człowiek urodził się

po złej stronie muru, dlaczego mianoby mu brać za złe, jeżeli stara się przeleźć na drugą?

— U pana nigdy nie można wiedzieć, co pan w następnej chwili powie, czy uczynił! — rzekła.

— Ja sam tego często nie wiem — odparł pan Crook, — ale zresztą jestem teraz po tej właściwej stronie muru.

— A któraż jest ta właściwa? — zapytała młoda osóбка z uśmiechem.

— Ta, na której pani się znajduje!

Po chwili, kiedy szli wśród wawrzynowych krzaków ku tej części ogrodu, która roztaczała się przed domem, zabrzmiała nagle trzykrotnie trąba samochodu, coraz bliżej i donośniej, aż wreszcie wspaniały elegancki zielony samochód, jak ptak mignął z wielką szybkością przed ich oczyma i dygocąc silnie, zarył się w żwir przed frontem domu.

— Hallo, hallo! Otóż i ktoś, kto na wszelki wypadek urodził się po tej lepszej stronie! — rzekł młody człowiek z czerwonym krawatem. — Nie wiedziałem, miss Adams, że pani święty Mikołaj tak modnie podróżuje.

— O, to jest mój chrzestny ojciec, sir Leopold Fischer. On zawsze zjeżdża do nas w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. To bardzo miły człowiek — dodała Ruby Adams po nieznacznej przerwie, która mimowoli zdradziła brak entuzjazmu.

John Crook, z zawodu dziennikarz, słyszał już był o tym wybitnym plutokracie i nie było doprawdy jego winy, że wybitny plutokrata nigdy nie sły-

szał o tym, który w pewnych artykułach w „Głosie Rewolucji“ i „Jutrzence Swobody“ niezbyt przychylnie wyrażał się o sir Leopoldzie.

Tymczasem sir Leopold Fischer siedział i spoglądał w milczeniu, jak jego służba przystąpiła do wyładowania samochodu — co nie było bynajmniej rzeczą prostą, ani łatwą. Wysoki zgrabny szofer w zielonej liberji wysiadł z auta, za nim wyskoczył mały służący w szarej liberji i dźwigając prawie sir Leopolda, postawili go przed progiem drzwi, poczem zaczęli rozwijać, niby jakiś bardzo cenny i dobrze opatrzony pakunek. Była na nim taka moc pledów, iż możnaby zapełnić nimi cały bazar; roiło się od futer, zdartych z wszystkich możliwych zwierząt wszelkich lasów, a szalów i szalików było tyle, ile jest kolorów tęczy.

W miarę, jak je rozwijano, kolejno, jeden po drugim — zaczęło się wyłaniać z nich coś na podobieństwo kształtów ludzkich, aż wreszcie ujrzano sympatycznego, acz z cudzoziemską wyglądającego, starszego pana z siwą, ostro przystrzyżoną bródką, który uśmiechał się przyjaźnie na całą twarz i tarł, jedna o drugą, futerkami podbite rękawice.

Jeszcze długo przedtem, zanim owo odsłonięcie zostało doprowadzone do końca, rozwarły się wielkie odrzwia hallu, z którego wyszedł na spotkanie nowoprzybyłego pułkownik Adams, ojciec owej młodej damy w futrze, aby powitać dostojnego gościa i wprowadzić go do domu. Był to czło-

wiek wysoki, smagły, prawie zawsze milczący. Na głowie nosił czerwoną szlafmycę nakształt fezu, dzięki czemu żywo przypominał angielskiego sir^{da} dara, lub egipskiego paszę.

Pułkownikowi towarzyszył szwagier jego, rośły, młody, nieco rubaszny farmer z płową brodą. Nazywał się James Blount i przybył niedawno z Kanady.

Ponadto znajdowała się w tem gronie mniej okazała postać księdza z sąsiedniego kościoła rzymsko-katolickiego. Albowiem niedawno zmarła żona pułkownika była katoliczką i dzieci, jak to zazwyczaj bywa w podobnych okolicznościach, były również wychowane w duchu rzymskiego ob^{rz}ądu.

Ksiądz był człowiekiem drobnym i niepokąźnym, i nazywał się nawet potocznie i pospolicie — Brown, ale pułkownik cenił w nim pewne zalety towarzyskie i często zapraszał go na zebrania fam^{ilijne}.

Wielki hall był na tyle obszerny, że sir Leopold mógł nietylko wejść, ale i złożyć resztę swoich rzeczy. W istocie hall ten, wraz z przedsi^{on}kiem, nieproporcjonalnie duży w stosunku do całego domu, tworzył niejako jedną wielką izbę z drzwiami wchodowemi od frontu i drewnianemi schodami w głębi.

Przed dużym kominkiem, na którym wisiała szabla pułkownika, zatrzymał się cały pochód, a uczestnicy jego, nie wyłączając nasrożonego

Crooka, zostali przedstawieni Sir Leopoldowi Fischerowi. Ale czcigodny finansista ciągle jeszcze mocował się ze składowemi częściami swojego grubego odzienia, aż w końcu wydobył z głębin tylnej kieszeni surduta czarną owalną szkatułkę, oznajmiając z radosną miną, że jest to prezent dla córki chrzestnej. Z próżnością bynajmniej nieudaną, w której było coś rozbijającego, pokazywał wszystkim kolejno ową szkatułkę i naraz odemknął ją ledwie dostrzegalnem pociśnięciem. Wnętrze jej niemal oślepiło wszystkich, jakby kryształowe źródło trysnęło im w oczy.

W gniazdku z pomarańczowego aksamitu leżały, podobne do trzech małych jajeczek, trzy białe lśniąca brylanty, które jakgdyby całą przestrzeń dookoła siebie przemieniały w płomień.

Fischer promieniał radością i rozkoszą, nasycał się zachwytem i zdumieniem, rysującym się na twarzy dziewczęcia, szorstką podzięką pułkownika i podziwem całego towarzystwa.

— A teraz, drogie dziecko, schowam te kamyczki zpowrotem, — rzekł, wkładając szkatułkę do kieszeni surduta. — Musiałem na nie w drodze bardzo uważać — są to trzy wielkie brylanty afrykańskie, zwane „Latające gwiazdy“, ponieważ nazbyt często ulatywały z rąk właścicieli i padały ofiarą kradzieży.

Nietylko wszyscy wielcy przestępcy są ustawicznie na ich tropie, ale nawet najzwyczajniejsi śmiertelnicy, tacy, jakich spotyka się na ulicach

i w hotelach, z trudem tylko mogą się oprzeć ich urokowi. Mogłem być je stracić po drodze — było to zupełnie możliwe.

— Powiedziałbym nawet, że byłoby to zupełnie naturalne — zauważył młody człowiek z czerwonym krawatem. — Gdyby je ktoś panu ukradł — zgołabym go za to nie potępiał. Kiedy ktoś prosi o chleb, a nie daje mu się nawet kamienia, wtedy wolno mu samemu zabrać sobie kamień!

— Nie chcę, by pan tak mówił! — zawołała młoda dziewczyna, która okazywała dziwne podniecenie. W ten sposób nauczyłeś się pan mówić dopiero, odkąd zostałeś tym szkaradnym — no, jakżeż się to nazywa? Pan przecie wie, co mam na myśli. Jak pan nazywa człowieka, który chce obijać i uściskać naprzykład — kominiarza?

— Świętym! — odparł Ojciec Brown.

— Zdaje mi się — zauważył sir Leopold Fischer z pobłażliwym uśmiechem — że Ruby ma na myśli socjalistów.

Wywrotowiec nie oznacza człowieka, który wywraca koziołki, tak samo, jak nie jest konserwatystrą ten, który robi konserwy — rzekł Cook z odzieniem niecierpliwości w głosie. — Podobnie — zaświadczam państwu — nie jest socjalistą ten, który pragnie zabawiać się z kominiarzem! Socjalistą jest ten, który pragnie, aby wszystkie kominy były wymienione, a wszyscy kominiarze odpowiednio wynagradzani!

— Ale który nie pozwala nikomu posiadać

swojej własnej sady w kominię... — zauważył cichym głosem ksiądz.

Crook spojrział nań oczyma, które wyrażały zainteresowanie i nawet szacunek.

— A czy ktokolwiek życzy sobie posiadać własną sadzę? — zapytał.

— Hm — to się zdarza... — odparł Brown z wyrazem zamyślenia w oczach. — Słyszałem, że ogrodnicy tego używają. Nawet ja sam uszczęśliwiłem raz, na Boże Narodzenie, sześcioro dzieci przy pomocy odrobiny sady — użytej zewnątrz — kiedy inny czarodziej nie chciał się pojawić.

— Och, bajeczne! — zawołała Ruby. — Gdyby tak ksiądz zechciał urządzić w naszym towarzystwie!

Hałaśliwy Kanadyjczyk, pan Blount, zawtórował jej podniesionym głosem — podobnie uczynił zdziwiony finansista w formie poważnej, rzeczowej prośby, gdy wtem usłyszano stukanie do drzwi. Kiedy je ksiądz otworzył, ukazał się oczom wszystkich ogród barwinku i wawrzynów, tonący w coraz głębszym mroku na tle przepysznego fioleto zachodzącego słońca. Obraz był w tem wspinałem obramowaniu tak barwny i niezwykłością swą tak dalece przypominał głąb sceny teatralnej, że w pierwszej chwili zapomniano o niepokaźnej postaci, stojącej w progu.

Był to mężczyzna w wytartym surducie, cały zakurzony — najwidoczniej zwyczajny posłaniec.

— Który z panów jest pan Blount? — zapytał, trzymając list w wyciągniętej ręce.

Mr. Blount zerwał się i stanął przed posłańcem. Rozdarł kopertę z widocznym zdziwieniem i zaczął czytać. Z początku twarz jego zachmurzyła się nieco, potem rozpogodziła się znowu, aż w końcu zwrócił się do swego szwagra i gospodarza w jednej osobie.

— Przykro mi bardzo, że ci sprawiam tyle kłopotu, mój pułkowniku — rzekł z tą swobodną konwencjonalnością, która jest zwyczajem kolonistów — ale czy miałbyś co przeciw temu, aby jeszcze dziś wieczór odwiedził mnie tutaj pewien stary mój znajomy? Ma jakąś pilną sprawę — dla ścisłości dodam, że chodzi o Floriana, tego sławnego francuskiego akrobatę i komika. Przed laty poznałem go na dalekim zachodzie — jest mianowicie rodem z francuskiej Kanady. Najwidoczniej chce ze mną o czemś pomówić, chociaż nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

— Ależ naturalnie, mój drogi, proszę bardzo — odpowiedział pułkownik niedbale. — Każdy twój przyjaciel będzie mile widziany. Spodziewam się, że okaże się bardzo miłym towarzyszem.

— Jeśli o to chodzi, z pewnością dałby sobie poczernić twarz — nie wątpię, że nie miałby on nawet nic przeciwko temu, aby wam wszystkim zasmydlić oczy! — zaśmiał się Blount. — Ale ja oświadczyłem niczym sobie z tego nie robił — nie jestem na tyle subtelny. Lubię ogromnie te stare wesole

pantominy, w których, dajmy na to, człowiek siada z powagą na cylinder!

— Byle nie na mój! — przerwał sir Leopold Fischer z godnością.

— No, no! — mruknął Crook, trochę arogancko — przestańmy się spierać! Bywają żarty jeszcze gorszego gatunku, niż siadanie na cylindrze...

Niechęć do młodzieńca w czerwonym krawacie, spowodowana zarówno jego rozbójniczymi poglądami, jak i widocznym spoufaleniem się z ładniutką córką chrzestną p. Fischera, odezwała się w tym ostatnim sarkastyczną i wyniosłą uwagą:

— Pan znasz niezawodnie te gatunki żartów, niższe niż siadanie na cylindrze — ciekaw jestem, co pan takiego masz właśnie na myśli?

— Posadzić — dajmy na to — cylinder na pana... — odparł socjalista.

— Spokojnie, spokojnie! — zawołał kanadyjski farmer w swojej barbarzyńskiej dobroduszości. — Nie psujcież nam, panowie, wesołego wieczoru. Wymyślmy lepiej coś innego dla całego towarzystwa. Żadne czernienie twarzy, ani siadanie na cylindrach, jeśli wam to nie w smak, ale mniej więcej coś w tym rodzaju. Dlaczego nie mieliśmy naprzykład zagrać starej angielskiej pantominy z clownem, kolombiną i t. d.? Ostatni raz widziałem tę sztukę jako dwunastoletni chłopak — było to wtedy, kiedy opuszczałem właśnie Anglię. Odtąd noszę ją ciągle w głowie, jakby wesoły, tlejący płomyk! Zeszłego roku wróciłem dopiero do

kraju i oto widzę, że historia ta wyszła już z mo-
dy. Nie macie teraz nic wesołego, tylko te ciągle
sentymentalne sztuki! Człowiek chciałby zobac-
zyć, jak n. p. policjant z rozżarzoną haczykiem
przemienia się w parę kielbasek, a pokazują mu
księżniczki romansujące, czy moralizujące przy
świecie księżyca, sinolice duchy, lub coś podobne-
go. Sinobrody już bardziej przypada mi do sma-
ku — najlepiej mi się podobało, kiedy przemieniał
się w pajaca!

— I ja przyłączam się także do tej propozy-
cji, aby policjanta przemienić w kielbaskę — rzekł
John Crook. — Jest to w każdym razie lepsza de-
finicja socjalizmu, niż ta poprzednio podana..
Obawiam się tylko, że przygotowanie tego wszyst-
kiego da za dużo roboty.

— Bynajmniej! — uniósł się Blount, zapalony
swoim pomysłem.

— Arlekinada da się najłatwiej przeprowa-
dzić przedewszystkiem dlatego, że każdy może
robić, co mu się żywnie podoba, a powtóre, wszyst-
kie przedmioty, których do tego celu potrzeba,
są to sprzęty domowe — stoły, wieszadła, kosze na
bieliznę i inne podobne rzeczy!

— To prawda — przyznał Crook, chodząc tam
i nazad po hallu i przytakując z zapalem — ale
skąd weźmiemy mundur policjanta? W ostatnich
czasach nie zabiłem żadnego...

Blount myślał przez chwilę i zmarszczył mo-
cno brwi, potem nagle klasnął w ręce i zawołał:

— (Mam już! Świetny pomysł! Dostałem właśnie adres Floriana, a on zna wszystkie wypożyczalnie kostjumów w Londynie. Zatelefonuję do niego natychmiast i każę mu przynieść ze sobą mundur policjanta. — Mówiąc to, w dużych podskokach pognął do telefonu.

— Ach, ojczy chrzestny, to będzie bajeczne! — krzyczała Ruby, tańcząc w zachwyceniu po hallu. — Ja będę kolombiną, a ty, ojczy, pajacem!

Miljoner wyprostował się sztywno, jak pogańin podczas religijnych obrządków i wycedził:

— Zdaje mi się, moja droga, że będziesz musiała upatrzeć kogoś innego na pajaca.

— Jeśli chcesz, to ja mogę być pajacem — rzekł pukownik Adams, wyjmując cygareto z ust i odzywając się po raz pierwszy i ostatni.

— Zasługujesz na to, aby ci wystawić pomnik! — zawołał rozpromieniony Kanadyjczyk, wracając od telefonu. — Teraz wszystko pójdzie gładko i składnie. Mr. Crook będzie clownem — on jako dziennikarz, zna z pewnością wszystkie najstarsze i najdawniejsze kawały. Ja mogę być arlekinem — na to wystarczy tylko mieć długie nogi i umieć skakać naokoło. Przyjaciel mój Florian telefonował mi właśnie, że przywiezie ze sobą kostjum policjanta i jeszcze w drodze się przebierze.

— Zdaje mi się, że najlepiej będzie zagrać pantominę tutaj, w hallu — publiczność zajmie miejsca na tamtych szerokich schodach, w dwóch rzędach, jeden nad drugim, a drzwi frontowe będą

stanowiły tło sceny, wszystko jedno, czy otwarte, czy nie. Przy zamkniętych drzwiach scena będzie przedstawiać wnętrze angielskiego pałacu, a skoro je otworzymy, ukaże się publiczności zaczarowany ogród w świetle księżyca! Wszystko układa się cudownie, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejkiej!

To rzekłszy, wydobył z kieszeni kawałek kredy bilardowej i nakreślił długą linię wpoprzek podłogi, w połowie odległości pomiędzy schodami a drzwiami, wiodącym do ogrodu — linja ta miała oznaczać długi rząd kinkietów.

Jak to się stało, że ów bankiet niedorzeczności był na czas gotowy — to pozostaje dotąd zagadką.

Ale cóż — zabrali się wszyscy do roboty z tą bezwzględną gorliwością, jaka jest tylko tam możliwa, gdzie młodość jest panią domu. A owego wieczora młodość w istocie królowała w tym domu, chociaż nie każdy umiał zmiarkować, że dwie tylko twarze rozrzuciły dokoła jej blask.

Jak to zwykle bywa, wpadano na coraz to dziwnsze pomysły, przez sam kontrast do tej całej masy konwenansów, którym burżuazja podlega na codzień niewolniczo, a które naraz, zniemacką przemieniają się w najdziwnsze wybryki.

Kolombina wyglądała uroczo — miała na sobie silnie odstającą spódniczkę, która dziwnie przypominała abażur wielkiej lampy z salonu.

Clown i pajac wybielili się mąką, otrzymaną

od kucharza i naróżowali policzki szminką, którą im dał jakiś inny domownik. Osoba owego ofiarodawcy pozostała nieznaną, w myśl zasad, obowiązujących wszystkich prawdziwie chrześcijańskich dobroczyńców.

Arlekiną zaś, przybranego w srebrny papier z pudełek od cygar, z trudem tylko udało się powstrzymać od stłuczenia antycznego świecznika z czasów królowej Wiktorji, którego kryształami chciał się przyozdobić. I w istocie, byłby to niezchybnie uczynił, gdyby Ruby nie wydołała, prawie że z pod ziemi, jakichś starych świecidełek, które miała raz na sobie na balu kostjumowym, jako „Królowa Djamentów“. A wuj jej, James Blount, stracił prawie zupełnie głowę, tak był podniecony i dokazywał jak żak.

To nałożył osłą maskę na głowę księdzu Brownowi, który nie tylko zniósł to cierpliwie, ale wpadł nawet samodzielnie na sposób strzyżenia uszami osła — to znowu próbował przyczepić ośli ogon, wycięty z papieru, do poły surduta Sir Leopolda Fischera. Ale tym razem dostał odprawę.

— Wujaszek zanadto dokazuje — szepnęła Ruby do Crooka, zawieszając mu z całą powagą wieniec z kiełbasek na ramionach. — Czemu on jest taki dziki?

— Przecież jest arlekinem kolombiny — odparł Crook. — Ja jestem tylko clownem, któremu wolno robić stare dowcipy.

— Szkoda, że pan nie jest arlekinem... — sze-

pnęły wypuszczając z rąk wieniec kielbasek, które zaczęły trząść się i kołysać na ramionach socjalisty.

Ojciec Brown, jakkolwiek był wtajemniczony w każdy zakulisowy szczegół i dostał nawet huczne brawa za umiejętne przekształcenie poduszki w niemowlę, przeszedł ze sceny w głąb sali i usiadł pośród publiczności z uroczystym wyczekiwaniem na twarzy, zupełnie jak dziecko, które po raz pierwszy zostało wyprowadzone na popołudniowe przedstawienie.

Widzów było niewiele — krewni, jeden, czy dwaj przyjaciele z okolicy i służba. Sir Leopold zajął „fotel w pierwszym rzędzie“, doszczętnie zasłaniając swoją okazałą osobą i futrzanym kołnierzem, który ciągle jeszcze miał na sobie, widok małemu księdzu, siedzącemu tuż za nim.

Aliści nie udało się nigdy powagom artystycznym ustalić, czy ksiądz wiele na tem stracił, czy nie...

Pantomina wypadła niebywale chaotycznie, choć nie zasłużyła na zupełną naganę. Zdarzały się w niej różne improwizowane szaleństwa, których autorem był w pierwszym rzędzie clown Crook. Był on z natury sprytny, natchniony i przepełniony dziką nieomal wszechwiedzą szaleństw i niedorzeczności, mądrzejszych od całego świata, takich, jakie potrafi popełnić młody człowiek, który przez jedną chwilę ujrzał szczególny wyraz na szczególnej twarzy. Jakkolwiek miał grać jedynie

rolę clowna, wziął na siebie jeszcze prawie wszystkie inne role i obowiązki — był autorem, o ile wogóle można było nazwać kogoś autorem tego przedstawienia, suflerem, reżyserem, dekoratorem, maszynistą, a przede wszystkim — orkiestrą. W nagłych przerwach tego zwarjowanego spektaklu, rzucał się w swoim pstrym kostjumie do fortepianu i walił nań jakąś oklepaną, popularną melodję, najgłupszą i zarazem świetnie dobraną do sytuacji.

Kulminacyjnym punktem całej zabawy była chwila, w której nagle otwarły się drzwi frontowe i w głębi sceny ukazała się na tle ogrodu zalanego przepyszным księżycowem światłem, sylweta słynnego w swoim fachu gościa, wielkiego Floriana w przebraniu policjanta.

Clown, siedzący przy fortepianie, zaintonował z miejsca marsz policyjny z „Piratów z Penzancy“, ale dźwięki fortepianu przygłuszyły szalone oklaski, albowiem każdy gest znakomitego aktora-komika był kapitalną, choć bynajmniej nie szarżowaną kopją ruchów i postawy prawdziwego policjanta.

Arlekin skoczył ku niemu i zerwał mu błyszczący kask z głowy, a równocześnie pianista grał znaną melodję do słów:

„A tę czapkę — skąd ją masz?

Zaraz mi ją, bratku, dasz!”

Policjant zrobił parę kroków z cudownie zdziwioną miną, a kiedy arlekin znowu rzucił się na

niego, zawtórował mu pianista kilkoma taktami z piosenki:

„Jeszcze mu się raz dostało!”

Potem chwycił arlekin policjanta w pół i powalił go na ziemię wśród ryku publiczności i nieustających oklasków. Niebywały francuski aktor udał wreszcie umarłego, tak uderzająco prawdziwie, że sława jego aktorskiego kunsztu stała się nieśmiertelna w tej okolicy. Niepodobna prawie było uwierzyć, aby żywa istota potrafiła ciało swoje uczynić do tego stopnia martwem i bezwładnem.

Atletyczny arlekin wywijał nim, niby workiem, okręcał go w powietrzu i ciskał o ziemię, ciągle jeszcze przy dźwiękach fortepianu, rozwydrzonych aż do szaleństwa. Kiedy śmiesznym ruchem dźwignął obwisłe ciało policjanta do góry, wtedy clown grał równocześnie:

„Wstaję ze słodkiego snu,
Ze słodkiego snu o Tobie!”

a kiedy zarzucił je sobie na plecy, odezwała się melodia do słów:

„Tłumok mi plecy gniecie,
Lecz chodzę z nim po świecie”.

Wreszcie arlekin upuścił policjanta na podłogę z łoskotem, który niezawodnie świadczył, o sile upadku. Szalencie przy fortepianie uderzył w brzęczące klawisze i wydobył z nich nutę starej piosenki, o której ciągle jeszcze powiadają ludzie, że brzmiała:

„List niosłem, z listem spieszyłem
Do mej niebogi.
List niosłem, lecz go zgubiłem
W połowie drogi..“

Szalony obraz, który O. Brown miał przed oczyma, zdał się nagle oszaleć do reszty. Mniej więcej w tym punkcie kompletnej umysłowej anarchji zerwał się nagle z miejsca milioner Sir Leopold Fischer, który siedział przed księdzem i stanawszy przed nim w całej swej okazałości, zaczął gorączkowo i gwałtownie przetrząsać obiema rękami wszystkie swe kieszenie. Potem usiadł nerwowo z powrotem, ciągle jeszcze szukając czegoś po kieszeniach — i zerwał się znowu. Przez chwilę zdawało się nie na żarty, że gotów jest wpaść poza rząd kinkietów — potem rzucił długie skośne spojrzenie w stronę clowna, który szalał przy fortepianie — aż nagle wypadł w milczeniu ze sali.

Jeszcze tylko przez parę chwil przyglądał się ksiądz nedorzecznemu, choć kunsztownemu tańcowi arlekina-amatora, nad jego przepysznie nieprzytomnym przeciwnikiem. Z prawdziwą, trochę tylko rubaszną sztuką, zaczął się arlekin powoli wycofywać w tańcu w głąb sceny i jeszcze dalej, przez drzwi frontowe, do ogrodu tonącego w ciższy i świetle księżycy. Jego strój, połatany i obklejony srebrnym papierem, aż nadto widocznym w oświetleniu kinkietów, wyglądał teraz coraz bardziej czarownie i srebrzył się coraz mocniej,

w miarę, jak arlekin oddalał się, tańcząc ciągle w czarodziejskiej poświacie księżycyca.

Nieustające salwy okłasków towarzyszyły oddaleniu się arlekina ze sceny — i nagle uczuł ksiądz Brown, że ktoś dotyka jego ramienia i szeptem prosi go, aby się udał do pokoju pułkownika.

Ksiądz Brown podążył tam bezzwłocznie, dziwiąc się wszystkiemu coraz bardziej. Uroczyście komiczny obraz, jaki się jego oczom przedstawił w pokoju pułkownika, bynajmniej nie rozprószył zdziwienia, które go ogarnęło — oto zastał pułkownika Adamsa w niezmienionym stroju pajaca, z długim piórem powiewającym mu nad uchem, ale równocześnie z tak zakłopotanym i smutnym wyrazem w oczach, że Saturna byłby wzruszył ten widok. Sir Leopold Fischer stał oparty o framugę kominka i dyszał ciężko, z oznakami najpoważniejszego przerażenia.

— Zaszła bardzo przykra rzecz, Ojciec Brown! — rzekł pułkownik Adams. — Owe brylanty — któreśmy wszyscy oglądali dzisiejszego popołudnia, — znikły, jak się okazało, z tylnej kieszeni surduta mojego przyjaciela — a ponieważ ksiądz...

— Ponieważ ja siedziałem tuż za nim — uzupełnił O. Brown, uśmiechając się z pewnym wyrzutem.

— Nic podobnego się nie przypuszcza! — przerwał pułkownik Adams, rzucając w stronę Fischera ostre spojrzenie, które kazało się domyślać, że podobne przypuszczenie przecie zostało

wyrażone. — Chcę tylko prosić księdza o pomoc, której chyba można oczekiwać od każdego gentleman'a.

— Innemi słowy — mam przetrząsnąć moje kieszenie? — nie czekając na odpowiedź odrazu przystąpił Ojciec Brown do tej czynności i wydobyl z kieszeni parę miedziaków, bilet tramwajowy (przesiadkę), mały srebrny krucyfiks, mały brezwjarczyk i tabliczkę czekolady.

Pułkownik Adams spojrział nań przeciągle i rzekł:

— Czy wiesz, mój księżu, że dużo bardziej wolałbym zajrzeć do wnętrza twojej głowy, niż do twoich kieszeni? Wiem, że moja córka jest jedną z twoich ludzi — otóż ona niedawno...

Tu utknął pułkownik na chwilę, ale wnet ciągnął dalej stanowczym głosem:

— Otóż niedawno wprowadziła ona do mojego domu pewnego zbrodniczego człowieka, to poderzygardło, tego socjalistę, który przyznaje się otwarcie, że ukradłby każdą rzecz człowiekowi bogatemu! To wszystko, co mam do powiedzenia. A tu jest — dodał, wskazując na Fischera — ten bogaty człowiek.

— Jeżeli chcecie, panowie, poznać wnętrze mojej głowy — owszem — stoi przed wami otworem. A co moja głowa warta? to mi potem powiecie — odparł ksiądz powoli i w zamyśleniu.

— Ale pierwsza rzecz, którą znajdziecie w tej nieprzetrząśniętej dotąd kieszeni, jest jedna praw-

da: ci, którzy zamierzają ukraść brylanty, nie rozpowiadają o tem przedtem, ani nie mówią o socjaliźmie. — Raczejby mu się odgrażali — dodał poważnie.

Tamci dwaj poruszyli się gwałtownie, ale ksiądz ciągnął dalej:

— Wierzcie mi — my znamy mniej lub więcej tych ludzi. Ten socjalista nie byłby w stanie ukraść brylantu, tak samo, jak nie ukradłby piramidy Cheopsa. Powinniśmy natomiast odszukać i czempredziej wybadać jedyne go człowieka, którego nie znamy — tego jegomościa, który grał rolę policjanta — Floriana.

Ledwie Ojciec Brown skończył, a już pajac zerwał się i wypadł z pokoju. Nastąpiła chwila milczenia, podczas której milioner gapił się na księdza, a ksiądz zazierał do brewjarza.

Po chwili pajac powrócił i podkreślając z wielką powagą każde pojedyncze słowo, powiedział:

— Policjant ciągle jeszcze leży na scenie — kurtyna od tego czasu sześć razy opadła i znowu się podniosła, a on ciągle leży bez ruchu.

Ojciec Brown upuścił książkę z rąk, porwał się z miejsca i stanął nieruchomo z wyrazem bezbrzeżnej umysłowej bezradności.

Powoli, powoli w szarych jego oczach zaczęły migotać pierwsze światelka — i nagle, ni stąd, ni zowąd, odpowiedział pytaniem, którego znaczenia absolutnie nie można się było dorozumieć.

— Wybacz mi proszę, drogi pułkowniku, ale czy wolno mi zapytać, kiedy pan stracił swoją żonę?

— Moją żonę? — odparł zdumiony pułkownik. — Umarła przed dwoma miesiącami. Brat jej James przyjechał w tydzień po jej śmierci, tak że niestety nie mógł się już z nią zobaczyć.

Mały księżulek podskoczył, jak postrzelony szarak.

— Chodźcie — no! — prędzej — prędzej — wołał w niezwykłym podnieceniu. — Musimy się przypatrzeć zbliska temu policjantowi.

Wszyscy trzej rzucili się do drzwi i w najwyższym pośpiechu pobiegli na scenę, której kurtyna spuściła się właśnie po raz siódmy. Nie bacząc na to co się wkoło nich dzieje, otarli się po drodze o kolombinę; clowna, który w zachwyceniu szepotali coś do siebie, doszczętnie zatopieni; w swej cichej rozmowie.

Stanęli nad policjantem. Ojciec Brown przyklęknął nad jego śmiesznie rozrzuconem ciałem.

— Chloroform! — rzekł po chwili, powstając z wolna. — Teraz dopiero wpada mi to na myśl!

Nastąpiło głuche milczenie, które wreszcie przerwał pułkownik.

— Powiedz mi poważnie, mój księżu — spytał powoli — co to wszystko ma znaczyć?

Ojciec Brown roześmiał się głośno i dopiero pod koniec swojej odpowiedzi udało mu się z trudem stłumić śmiech.

— Panowie — mówił prawie bez tchu — nie pora teraz na gadanie! Muszę z miejsca ścigać zbrodniarza — ale wiedzcie — ten wielki aktor francuski, który grał tak znakomicie rolę policjanta, ta zręczna, giętka postać, z którą arlekin tańczył i wywijał nią, i podrzucał, i ciskał na wszystkie boki — to był..

Tu ksiądz Brown urwał, odwrócił się i wpadł w drzwi.

— To był — kto?! — krzyczał sir Leonold Fischer, biegnąc za nim natarczywie.

— Prawdziwy policjant! — zawołał Ojciec Brown i zniknął w ciemnościach.

Były tam zapadliny i wyrwy w tym ogrodzie, w którym drzewa wawrzynowe i najróżniejsze inne nieśmiertelne rośliny połyskiwały nawet zimową porą ciepłymi kolorami południa, na tle śniegu, szafirowego nieba i srebrzystego księżycowego blasku.

Pogodna zieloność bujnych wawrzynów, soczysty, głęboki granat nocy, księżyc błyszczący, niby jakiś ogromny, zawieszony w przestworzu kryształ — wszystko to składało się na prawie nierealny, nieprawdopodobnie romantyczny obraz.

Ale oto — w koronie jednego z ogrodowych drzew pnie się w górę jakowaś dziwna postać, która wygląda nie tyle romantycznie, co nieprawdopodobnie. Lśni się cała od stóp do głowy, jak gdyby obwieszona tysiącami księżyców, a prawdziwy księżyc chwyta ją raz po raz w każdym

najdrobniejszym poruszeniu i coraz to inną częścią rozpała migotliwym połyskiem.

Postać przewija się i wspina z małpią zrzęczością, lśniącą i pełną triumfu z niższego drzewa na wyższe — ale nagle nieruchomieje — tylko dlatego, że jakiś niepozorny cień prześlizgnął się pod niższe drzewo i nieomylnym, pewnym siebie głosem przerywa czarodziejską ciszę ogrodu.

— Doprawdy, mój Flambeau — mówił ku górze głos z dołu — wyglądasz, jak „Latająca gwiazda“, ale wierz mi, latające gwiazdy w końcu zawsze zmieniają się w gwiazdy spadające!

Srebrzysta lśniąca postać w górze zdała się przechylać lekko naprzód w bujnym gąszczu warzyny i ufna w możliwość ucieczki każdej chwili, słuchała, co mówił nikły cień w dole, u stóp drzewa.

— Jeszcze nigdy w życiu nie zrobił lepszego kawału, mój Flambeau! Urządziłeś to bardzo sprytnie, żeś przyjechał z Kanady (przypuszczalnie na bilet z Paryża) właśnie w tydzień po śmierci pani Adams, kiedy to nikt nie miał głowy, ani nie był w nastroju do zadawania jakichkolwiek pytań! Jeszcze więcej sprytu okazałeś tem, żeś wyszedł koleje „Latających gwiazd“ i dzień przyjazdu Fischera. Ale wszystko, co potem nastąpiło, nie było już sprytne — było wprost genialne!

Przypuszczam, że sama kradzież brylantów nie sprawiła ci żadnych trudności. Byłbyś jej potrafił dokonać jednym prostym wślizgnięciem ręki

do kieszeni, w tysiąc innych sposobów poza tym jednym, którego użyłeś. To, żeś ukradł brylanty z kieszeni Sir Fischera w tym momencie, w którym przyczepiałeś mu do poły surduta ośli ogon, wycięty z papieru — to było dosyć proste — ale we wszystkim innem przeszedłeś sam siebie

Srebrna sylweta w zielonem listowiu zdawała się być przykuta do miejsca. Jakkolwiek każdej chwili mogła była z łatwością uciec — jak zahyzpnotyzowana, nie spuszczała wzroku z małego człowieka, który stał na dole.

— O tak! — ciągnął dalej człowiek pod drzewem — wiem o tobie wszystko. Wiem, że przepałeś wybór pantominy w miejsce każdej innej zabawy, aby jej użyć do podwójnego celu.

Chciałeś ukraść brylanty poprostu i całkiem spokojnie — tymczasem otrzymałeś wiadomość od jakiegoś kolegi po fachu, że policja jest na twoim tropie, że wysłano już tego komisarza policji, aby cię tego jeszcze wieczora przychwycić. Zwyczajny złodziej, wdzięczny za przestrożę, byłby najprościej w świecie czmychnął — ale ty jesteś artystą!

Wpadłeś odrazu na ten świetny pomysł, aby brylanty ukryć w najlepszym miejscu — w blasku fałszywych kamyków, pomiędzy świecidełkami twojego stroju, połyskującemi ze sceny. Następnie wpadło ci na myśl, że pojawienie się stroju policjanta obok stroju arlekina — będzie całkiem na miejscu.

Czcigodny komisarz wyruszył z policji w Putney w poszukiwaniu za tobą, a tymczasem wpadł w najdziwaczniejszy w świecie samotrzask, jaki kiedykolwiek na kogoś nastawiono.

Kiedy otworzył drzwi frontowe, ruszył prosto na scenę. Ale na scenie odgrywano właśnie naszą pantominę, właśnie tę jedyną zabawę, w której obecność policjanta jest całkiem naturalna, w której tańczącemu arlekinowi wolno go kopać, deptać, poszturchiwać, odurzać i ogłuszać — i to wśród wybuchów śmiechu najszanowniejszych obywateli miasta Putney! O, Flambeau — nigdy w życiu nie wymyślisz już lepszego kawału!

Ale teraz — à propos — bądź tak dobry i zwróć mi skradzione brylanty!

Zielone gałęzie, w których tkwiła połyskująca figura, drgnęły, jakgdyby w zadziwieniu, ale głos z pod drzewa mówił dalej:

— Chcę, abyś zwrócił je, mój Flambeau i abyś zarzucił ten sposób życia! Jest jeszcze w tobie honor, i humor, i młodość — ale nie wyobrażaj sobie, aby długo mogły one się utrzymać przy tego rodzaju zawodzie, jak twój.

Można wytrwać na pewnym stałym poziomie dobra — ale nikt jeszcze nie potrafił się utrzymać na jednym poziomie zła. Droga grzechu prowadzi tylko w dół — coraz niżej i niżej. Człowiek łagodny pije i staje się okrutny. Prawdomówny zaczyna kłamać, a potem zabija.

Znałem niejednego, który rozpoczął podobnie,

jak ty, jako „uczciwy“ rzezimieszek, rabujący z humorem i tylko bogatych, a wreszcie skończył w bagnie!

Maurice Blum zaczął swoją karierę, jako anarchista = ideowiec, ojciec i opiekun ubogich, a zakończył ją, jako podły szpieg i prowokator, który służył obu stronom i u obu był w pogardzie.

Harry Burke rozpoczął swoją działalność od hasła w rodzaju: „Precz z tyranją kapitalistycznych pieniędzy!“ — a teraz wyludza od swojej przymierającej głodem siostry pieniądze na niezliczone zabójcze wódki!

Lord Amber w przystępie snobizmu wszedł w rozwiązanie, wyzbyte wszelkich moralnych skrupułów koła, a dziś popelniają na nim szantaże i wymuszenia najnikczemniejsze sepy w Londynie!

Kapitan Barnillon był — zanim ty wystąpiłeś na arenę — największym gentlemanem = apaszem — umarł w domu obłąkanych, wyjąc ze strachu przed tymi, którzy go zdradzili i doprowadzili do tego stanu!

— Wiem o tem, mój Flambeau, że te korony drzew, które cię otaczają, przynoszą wolność i że w okamgnieniu mógłbyś utonąć w nich, jak małpa i przepaść bez śladu. Ale kiedyś i ty Flambeau, będziesz starą, siwą małpą. I wtedy z zimnem, wygasłem sercem zasiądziesz wpośród drzew twojego wolnego lasu — i będziesz bliski śmierci. Ale korony drzew będą wtedy nagie i bezlitośnie puste!

Spokojne słowa padały w głęboką i niezmie-

nioną ciszę. Postać na drzewie trwała nadal w milczącym bezruchu, jakgdyby ten mały człowieczek na dole trzymał ją na jakiejś długiej, niewidzialnej smyczy.

Głos zabrzmiał znowu:

— Twoje pierwsze kroki na drodze, wiodącej ku upadkowi, już się rozpoczęły. Dumny byłeś z tego zawsze, że ani razu nie popełniłeś w twojem życiu nic brudnego, nic podłego.

Ale to, coś uczynił dzisiejszego wieczora, jest niskie i brzydkie:

Odchodzisz, pozwalając, aby podejrzenie pozostało na uczciwym chłopaku, przeciw któremu i tak się już niejedno sprzyścięło, i tem samem rozłączasz go z kobietą, którą on kocha i która kocha jego.

Ale do czasu twojej śmierci popełnisz jeszcze niejeden uczynek brzydszy i podlejszy!

Trzy lśniące kamienie spadły z drzewa pod stopy małego człowieczka. Mały człowieczek schylił się, aby je podnieść, a kiedy znowu spojrział w górę — srebrny ptak już był uleciał z zielonej klatki drzewa.

Odzyskanie kamieni, które ksiądz Brown znalazł przypadkiem w pośrodku wszystkich, znalazło swój radosny wyraz w triumfalnym krzyku, którym zakończono ów wieczór.

Sir Leopold Fischer oświadczył nawet księdzu

w przystępie doskonałego humoru, że jakkolwiek on sam osobiście ma nieco szersze poglądy, potrafi jednak szanować poglądy tych, którym wiara nakazuje przebywać po klasztorach w odcięciu od świata i w zupełnej nieznajomości ludzi.

CZŁOWIEK NIEWIDZIALNY

W chłodnym, niebieskim zmierzchu, u zbiegu dwóch stromych ulic w Camden Town, tliła się narażona cukierenka, niby koniuszek cygara. Należałoby może powiedzieć raczej, jak koniuszek fajewerku, ponieważ światło mieniło się różnem; kolorami, łamało się w różnych zwierciadłach i tańczyło na mnóstwie pozłacanych i pstrych keksów i cukierków. Z drugiej strony płonęły u tej ognistej szyby nosy licznych pędzaków, albowiem czekoladki były owinięte w cudowne metaliczne kolory, czerwone, złote i zielone, które są nieomal lepsze od samej czekolady. A ogromny biały tort na wystawie był daleki i zarazem sprawiał rozkosz, tak właśnie, jakgdyby cały biegun północny był do jedzenia. Takie tęczowe prowokacje ściągały najoczywiściej okoliczną młodzież do lat dziesięciu, czy dwunastu. Ale narożnik ten posiadał i dla młodzieży w starszym wieku siłę przyciągającą. Oto pewien młodzieniec, liczący nie mniej, jak dwadzieścia i cztery lata, wpatrywał się wła-

śnie w to samo wystawowe okno. I dla niego miał ów sklep nieodparty urok, którego nie należało jednak w całej pełni przypisywać czekoladkom — chociaż był zaiste daleki od tego, aby nimi gardzić. Był to wysoki, zażywny, czerwonowłosy młodzieniec z rezolutną twarzą, ale niedbałymi ruchami. Pod pachą trzymał płaską, szarą tekę, pełną najrozmaitszych szkiców, które z większym lub mniejszym powodzeniem sprzedawał nakładcom, odkąd jego wuj, admirał, wydziedziczył go był za socjalizm, z powodu odczytu, który młodzieniec wygłosił przeciw tej ekonomicznej teorii. Nazywał się John Turnbull Angus.

Kiedy wreszcie wszedł do cukierni, przywitał się z młodą osóbką, która tam usługiwała, i przeszedł do tylnego pokoju, który stanowił rodzaj mleczarenki. Sprzedająca była to ciemna, elegancka, żywa dziewczyna, w czarnej sukni, o żywej cerze i żywych ciemnych oczach. Jak zwyczajnie, po upływie kilku chwil podeszła za nim do tylnego pokoju, aby przwiązać zamówienie.

Zamówienie to brzmiało najwidoczniej tak, jak codziennie. „Proszę panią“ — rzekł młodzieniec z precyzją — „o babkę za dziesięć groszy i o małą czarną“. I zanim dziewczyna zwróciła się do drzwi, dodał: „Aha, i proszę panią jeszcze o rękę“.

Młoda panna wyprostowała się nagle i rzekła: — Wypraszam sobie podobne żarty.

Czerwonowłosy młodzieniec podniósł swoje szare oczy w górę z nieoczekiwaną powagą.

— Najistotniej i najprawdziwiej, — rzekł — jest to sprawa poważna, nie mniej poważna, jak babka za dziesięć groszy. Jest kosztowna, jak babka — płaci się za to. Jest niestrawna, jak babka. Sprawia cierpienie.

Ciemna młoda panna nie spuszczała zeń swoich czarnych oczu, zdawała się, przeciwnie, studiować go z tragiczną nieomal dokładnością. Pod koniec owego badania zarysował się na jej twarzy jak gdyby cień uśmiechu; usiadła na krześle.

— Czyż nie uważa pani, — stwierdził od niechcienia Angus — że zjadanie takich młodziutkich dziesięciogroszowych babek jest okrucieństwem? Mogłyby przecież podrosnąć do dwudziestogroszowej wielkości... Zarzucę ten brutalny sport, skoro się tylko pobierzemy.

Młoda czarna panna wstała z krzesła i podeszła do okna, najwidoczniej w stanie silnego, wybitnie współczującego poruszenia. Kiedy z wyrazem stanowczości odwróciła się znowu, ujrzała ku swojemu przerażeniu, że młody człowiek wyklada na stół przeróżne przedmioty z okna wystawy. — Była między niemj cała piramida różnokolorowych cukierków, kilka tac z kanapkami, oraz dwie kafealki, zawierające tajemniczy port i sherry, jakie sprzedaje się w cukierniach. W pośrodku owej milej zastawy umieścił troskliwie olbrzymią pira-

midę białego tortu, który stanowił główną ozdobę okna.

— Co pan do licha wyprawia? — spytała.

— Moja droga Lauro, spełniam obowiązek — zaczął.

— Ach, na miłość boską, niechże pan przestanie na chwilę — krzyknęła — i nie mówi do mnie w ten sposób. Pytam, co to wszystko ma znaczyć?

— To jest uroczysta uczta, panno Hope.

— A co to jest? — spytała niecierpliwie wskazując na górę cukru.

— To jest tort weselny pani Angus. — odpowiedział.

Dziewczyna podeszła do owego przedmiotu, zabrała go nieco hałaśliwie i wstawiła z powrotem do okna. Potem wróciła, oparła swoje eleganckie łokcie o stół i spojrzała na młodego człowieka nie tyle nielaskawie, ile z wymowną rozpaczą.

— Nie daje mi pan ani chwili do namysłu — rzekła.

— Nie jestem taki głupi; — odpowiedział. — To już jest dowód mojej chrześcijańskiej pokory..

Ciągle jeszcze patrzyła na niego, ale z poza uśmiechu wyzierała twarz nad wyraz poważna.

— Panie Angus — rzekła stanowczo — zanim się te niedorzeczności przeciągną jeszcze choćby o jedną minutę, muszę panu coś o sobie powiedzieć, tak krótko, jak tylko potrafię.

— Z zachwytem — odrzekł Angus poważnie.

—Może pani zechce powiedzieć coś także ; o mnie, skoro już przy tem jesteśmy.

— O, niech pan lepiej siedzi cicho i słucha. — rzekła ona. — Niema nic, czegobym się miała wstydzić i niema nawet nic takiego, czegobym specjalnie żałowała. Ale co — pan powiedział, gdyby to było coś takiego, co mnie właściwie nic nie obchodzi, a jednak jest zmora moich nocy?

— W takim wypadku, — rzekł poważnie — poradziłbym, aby pani przyniosła tu zpowrotem ten tort.

— Dobrze, naprzód musi pan wysłuchać tej historii — rzekła Laura uparcie — Otóż przedewszystkiem muszę panu powiedzieć, że mój ojciec posiadał w Ludbury oberżę pod „Czerwoną Rybą“, w której ja usługiwałam gościom przy bufecie.

— Nieraz już zastanawiałem się nad tem — rzekł on — dlaczego w tej jednej cukierence odczuwa się powiew chrześcijańskiego ducha..

— Lundbury jest to nudny, zielony, mały zakątek we Wschodnich Hrabstwach i jedyni ludzie, którzy zachodzili pod „Czerwoną Rybę“, byli to przygodni kupcy, komiwojażerowie a reszta składała się z najokropniejszych istot, jakie się kiedykolwiek spotyka — tylko, że pan nigdy nie spotyka takich. Mam na myśli małych, gnuśnych ludzi, którzy mają właśnie tyle pieniędzy, ile wystarczy na życie i którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak włóczyć się po szynach i grać na wyścigach. Są zawsze źle odziani, chociaż jak na nich,

jest to doprawdy w sam raz. Nawet te nędzne nic-
ponie nie były powszednimi gośćmi w naszym do-
mu — tylko dwaj z pomiędzy nich byli aż nadto
powszedni, w każdym tego słowa znaczeniu. Obaj
żyli z własnych pieniędzy, obaj wiedli aż do obrzy-
dzenia próżniaczy żywot i obaj byli aż do przesady
bogato ubrani. A jednak było mi ich trochę
żał, bo jestem prawie pewna, że zakradali się do
naszej pustej oberży dlatego, ponieważ tak jeden
jak i drugi był poniekąd ułomny. w takim rodzaju,
jaki bywa pośmiewiskiem wiejskich chłopaków.
Właściwie nie była to wprost ułomność — raczej
śmieszność. Jeden z nich był zdumiewająco
mały, prawie jak karzeł, albo conajmniej, jak dżo-
kiej. Nie wyglądał jednak bynajmniej na dżokie-
ja. Miał okrągłą czarną głowę i czarną, staran-
nie przystrzyżoną brodę i oczy żywe, jak u ptaka.

Pobrzękiwał pieniędzmi w kieszeni, brzękał
grubym złotym łańcuchem od zegarka i nie poka-
zywał się nigdy inaczej, jak wyjątkowo ubrany —
aż zanadto dobrze, jak na dżentelmena. Chociaż
był marnym próżniakiem, bynajmniej nie był głu-
pi, przeciwnie, był nawet dziwnie zręczny w naj-
różniejszych rzeczach, które nikomu nie mogły
przynieść pożytku. Umiał improwizować jakieś
czarodziejskie sztuczki, zapalić piętnaście za-
palek, jedną o drugą, niby ognie sztuczne, czy
wyciąć z banana, lub czegoś podobnego tańczącą
lalkę. Nazywał się Izydor Smythe — mam go jesz-
cze ciągle przed oczyma, jego czarną twarz widzę,

jak podchodzi do lady, albo z pięciu cygar robi skaczącego kangura.

Drugi człowiek był bardziej milczący i bardziej powszedni, ale ten znacznie więcej mnie niepokoił, niż mały biedaczyna Smythe. Był to bardzo wysoki i smukły blondyn. Nos miał szczególnie wysoko sklepiony. (Mógł uchodzić nieomal za pięknego człowieka — mierząc miarą upiorów — ale miał tak potworny zez, jakiego jeszcze w życiu nie widziałam. Kiedy na mnie patrzył, sama nie wiedziałam, gdzie jestem, tem mniej nie wiedziałam, na co patrzy. Zdaje mi się, że ten defekt napełniał biednego chłopca odrobiną goryczy, bo podczas, kiedy Smythe produkował się zawsze z całą gotowością swojemi małpiemi sztuczkami, Dzems Welkin (tak nazywał się ten zezowaty osobnik), albo pił w naszym barze, albo odbywał długie samotne spacery po płaskiej, szarej okolicy. Niemniej jednak i Smythe, jak myślę, był nieco drażliwy na punkcie swego niskiego wzrostu, chociaż znacznie zrzęczniejszy to ukrywał. To też byłam niemało zdziwiona i zmieszana, a jeszcze więcej żal mi się zrobiło, kiedy obaj, jednego i tego samego tygodnia, poprosili o moją rękę.

Otóż wtedy zrobiłam coś, co mi się zawsze potem wydawało wielkiem głupstwem. Ale ostatecznie te dwie pokraki, to byli moi przyjaciele — do pewnego stopnia — i zgroza ogarniała mnie na samą myśl, że mogłabym im odmówić, podając rzeczywisty powód, którym była ich bezmierna brzy-

dota. Wymyśliłam tedy powód innego rodzaju — powiedziałam, że wyjdę tylko za tego, który sobie sam utoruje drogę przez świat. Powiedziałam, iż postawiłam sobie za zasadę nigdy nie żyć z pieniędzy, które ktoś — tak, jak właśnie oni — odziedziczył. W dwa dni potem, jak im to w najlepszej wierze oświadczyłam, zaczęło się całe nieszczęście. Pierwsza rzecz, o której się dowiedziałam, była, że obaj wyruszyli w świat w poszukiwaniu własnej fortuny — zupełnie tak, jak to się dzieje w czarodziejskiej baśni.

Od tego dnia nie widziałam więcej żadnego z nich. Ale otrzymałam dwa listy od owego małego człowieka, nazwiskiem Smythe, i doprawdy, bardzo mnie zaniepokoiły.

— A czy słyszała pani coś o tym drugim człowieku? — zapytał Angus.

— Nie, ten nigdy nie pisał — rzekła dziewczyna po chwili wahania. — W pierwszym liście doniósł mi Smythe poprostu, że wybrał się razem z Welkinem piechotą do Londynu, ale Welkin był tak dobrym piechurem, że mały człowieczek nie mógł mu nadążyć i pozostał w tyle, aby odpocząć na skraju drogi. Przypadkiem został tam podjęty przez jakiś wędrowny cyrk i częścią dlatego, że był nieomal karzełkiem, a poczęści dlatego, że był to naprawdę mały, zręczny spryciarz, przystał do tej cyrkowej imprezy i wkrótce został przydzielony do akwarjum, gdzie produkował się jakimiś sztuczkami — nie pamiętam już czem. Tyle było w pier-

wszym liście. Drugi list wprawił mnie w znacznie większe zdumienie — otrzymałam go w ostatnim tygodniu.

Człowiek nazwiskiem Angus wypróżnił filiżankę kawy i spojrzał na nią łagodnie, cierpliwie oczyma. Usta jej ułożyły się w nieznaczny uśmiech, kiedy podjęła opowiadanie:

— Widział pan już chyba wszędzie dookoła na plakatach „Milczącą Służbę Smythe'a“? Albo jest pan jedyną osobą, która tego nie widziała. Ja sama niedużo o tem wiem. Jest to jakiś mechanizm zegarowy, wynalazek, który spełnianie wszystkich domowych czynności przekazuje maszynom. Zna pan chyba przedmioty tego rodzaju: „Pociśnij guzik — lokaj, który nigdy nie pije“. „Przekręć rączkę — dziesięć pokojówek, które nigdy nie flirtują“. Musiał pan te ogłoszenia widzieć. Otóż, jekielkolwiek są te maszyny, w każdym razie robią pełne garnki pieniędzy i robią to wszystko dla owego małego krasnoludka, którego znam z Ludbury. Nie mogę się tem nie cieszyć, że mały biedaczyna stał na własnych nogach, ale z drugiej strony, umieram ze strachu na myśl, że może się tu każdej chwili zjawić i powiedzieć, że utorował sobie drogę przez świat — jak też w istocie uczynił.

— A ten drugi? — powtórzył Angus z pewnego rodzaju spokojnym uporem.

Laura Hope zerwała się nagle z krzesła.

— Przyjacielu — rzekła. — Pan jest chyba jasnowidzący! Tak jest, pan ma zupełną słuszość.

Nie widziałam ani jednego słowa napisanego jego ręką, i tyle właśnie wiem, czem jest i gdzie się pozdiewa, ile mógłby wiedzieć umarły. Ale to jest właśnie w nim to okropne! On jest właśnie tym, który jest wiecznie, na każdym kroku, koło mnie. On jest tym, który mnie przyprawia o szaleństwo! Naprawdę — myślę, że on mnie już o szaleństwo przyprawił, ponieważ czułam jego obecność tam, gdzie żadną miarą nie mógł być i słyszałam jego głos, chociaż żadną miarą nie mógł wtedy mówić.

— Doskonale, moje kochanie — rzekł młody człowiek wesoło. — Gdyby był nawet szatanem we własnej osobie, jużby było po nim, z tą chwilą, kiedy się pani z tego wszystkiego zwierzyła. Wszelkie szaleństwa, moja przyjaciółko, są tylko skutkiem samotności. Ale kiedyż to było, że pani wyczuwała i słyszała swego zezowatego przyjaciela?

— Słyszałam śmiech Dżemsa Welkina tak wyraźnie, jak teraz słyszę pańskie słowa — rzekła dziewczyna niezłomnie. — Wiem, że nie było obok mnie nikogo, ponieważ stałam właśnie w progu sklepu, na rogu, tak, że mogłam jednocześnie widzieć obie ulice. Nie pamiętam już, jak się był swego czasu śmiał, chociaż śmiech ten był równie niesamowity, jak jego zez. Nie myślałam o nim prawie przez rok. Ale mówię świętą prawdę, że w sekundę pierwszej nadszedł pierwszy list od jego rywala.

— Czy udało się pani kiedy nakłonić tego ducha do jakiego słowa, czy kwiku, czy czegoś po-

dobnego? — zapytał Angus z pewnem zainteresowaniem.

Laura wzdrygnęła się nagle, a potem rzekła niewzruszonym głosem:

— Tak. W tej samej chwili, kiedy doczytałam do końca drugi list Izydora Smythe'a, w którym doniósł mi o swoim powodzeniu, właśnie wtedy usłyszałam głos Welkina: „A jednak on ciebie mieć nie będzie“. Było to tak wyraźne, jakgdyby był tutaj w pokoju. To jest straszne! Myślę, że już zwarzjowałam!

— Gdyby pani naprawdę zwarzjowała — rzekł młody człowiek — toby pani myślała, że pani jest zdrowa. Ale istotnie wydaje mi się, że coś jest dookoła osoby tego niewidzialnego dżentelmena nie w porządku. Dwie głowy są lepsze, niż jedna — oszczędzam pani aluzji do jakichkolwiek innych organów — i doprawdy, gdyby pani pozwoliła mi, jako człowiekowi zrównoważonemu i praktycznemu, przynieść z powrotem ten tort weselny z okna!

Ledwie wyrzekł te słowa, kiedy coś, jakgdyby szalony krzyk, zadźwięczało na ulicy i drobny samochód wpadł z djabelską szybkością przed drzwi sklepu i tutaj przystanął. W tem samym okamgnieniu drobny mężczyzna w błyszczącym cylindrze stał w pierwszej izbie, przytupując z mrozu nogami.

Angus, który, ze względu na higienę umysłu, zachowywał dotąd pogodną swobodę, odsłonił nagle napięcie nerwów — zerwał się w tylnym poko-

ju i już mierzył nowego przybysza bystrem spojrzeniem. Jeden rzut oka wystarczał całkowicie, aby rozpoznać przed sobą dziką zagadkę człowieka zakochanego.

Ta bardzo zwinna, choć karłowata figura, z czarnym klinem bródky wysterczającym wprzód, te sprytne, niespokojne oczy, kształtne, ale bardzo nerwowe palce — to nie mógł być nikt inny, jeno ów, niedawno opisany, człowiek: Izydor Smythe, który robił lalki z łupek bananów i pudełek od zapalek, Izydor Smythe, który robił miliony na niepijących lokajach i nieromansujących, metalowych pokojówkach. Przez chwilę obaj mężczyźni, rozumiejąc instynktownie wzajemne swoje prawo posiadania, patrzyli na siebie z tą dziwną chłodną wspaniałomyślnością, która jest duszą rywalizacji.

Mr. Smythe jednak, unikając wszelkich aluzyj do istotnego powodu ich antagonizmu, rzekł poprostu, acz wzruszonym głosem:

— Czy panna Hope widziała już tę historję na oknie?

— Na oknie? — powtórzył zdumiony Angus.

— Nie czas teraz na wyjaśnianie innych rzeczy — rzekł krótko drobny milioner. — Dzieją się tutaj jakieś sztuczki, które należy wytłumaczyć.

Wskazał swoją polerowaną laską na okno, które niedawno Mr. Angus opróżnił dla swoich weselnych przygotowań. A teraz zdumiał się ów dżentelmen mocno, ujrzawszy długi pasek papieru naklejony nazewnątrz okna przez całą długość szy-

by; z całą pewnością nie było tego jeszcze parę chwil temu, kiedy zaglądał przez okno do wnętrza.

A kiedy wyszedł za energicznym Smythem na ulicę, ujrzał przyklejony od zewnątrz na szkłe skrawek papieru, długi jakie półtora metra, na którym napisane były bezładnym charakterem słowa: „Gdybyś wyszła za Smythe'a — on zginie!”

— Lauro — rzekł Angus, wsadzając swoją ręką głowę do sklepu. — Pani nie zwarjowała.

— To jest pismo Welkina — rzekł Smythe z pasją. — Lata całe go nie widziałem, ale ten łotr nie przestaje mnie prześladować. Pięć razy w ostatnich dwóch tygodniach zastałem w moim domu listy z pogrózkami i nie mogę nawet wykryć, kto je zostawia, jeżeli nie zostawia ich sam Welkin. Portjer domu przysięga, że nie widział żadnych podejrzanych indywiduów, a tutaj znowu nalepia on sobie jakąś tapetę na okno publicznego sklepu, podczas, gdy ludzie w sklepie...

— Bardzo słusznie — rzekł Angus skromnie. — Podczas, gdy ludzie w sklepie siedzieli przy podwieczorku. Szanowny panie, muszę mu wyrazić moje uznanie dla pańskiego sądu, który trafia prosto w samo sedno rzeczy. O innych rzeczach możemy pomówić później. Otóż przedewszystkiem, ów jegomość nie może się znajdować daleko stąd, ponieważ mogę przysiąc, że tego papieru nie było tutaj, kiedy ostatni raz przystąpiłem do okna — dziesięć, czy piętnaście minut temu. Z drugiej stro-

ny znowuż jest on za daleko, iżby go można ścigać, zwłaszcza, że nie wiemy nawet, w jakim kierunku. Jeżeli pan zechce posłuchać mojej rady, panie Smythe, proszę oddać natychmiast całą sprawę w ręce jakiego energicznego detektywa, i to raczej prywatnego, niż publicznego. Znam jednego wyjątkowo sprytnego jegomościa, który ma swoje biuro niedaleko stąd — pięć minut pańskim samochodem. Nazywa się Flambeau i chociaż młodość jego była trochę burzliwa, niemniej jest to z gruntu uczciwy człowiek i głowa jego jest warta pieniędzy. Mieszka w Lucknow Mansions, w Hampstead.

— Dziwne doprawdy — rzekł młody człowiek, podnosząc swoje czarne brwi. — Ja sam mieszkam opodal, za rogiem — w Himalaya Mansions. Może pan zechce pojechać ze mną? Wpadłbym do domu po te dziwaczne dokumenty Welkina, a pan wstąpiłby tymczasem po swojego przyjaciela detektywa.

— Bardzo pan łaskaw — rzekł Angus uprzejmie. — Dobrze, im prędzej będziemy działać, tem lepiej.

Obaj mężczyźni, kierując się dziwnem poczuciem zaimprovizowanej lojalności, pożegnali się w ten sam formalny sposób z damą, poczem obaj wsiedli do zgrabnego małego wózka. Smythe ujął kierownicę. Za rogiem ulicy ubawił Angusa ogromny słup ogłoszeniowy „Milczącej Służby Smythe'a“, na którym ujrzał obraz olbrzymiej bezgłowej lalki

z sosjerką w ręce i napisem: „Kucharka, która się nigdy nie złości“.

— Używam ich w moim własnym domu — rzekł, śmiejąc się, człowieczek z czarną bródką. — Poczęści dla reklamy, a poczęści dla własnej wygody. Mówiąc szczerze i niezależnie od wszelkiej reklamy, te mechaniczne lalki przyniosą panu węgiel, podadzą wina do stołu, czy przyniosą rozkład jazdy szybciej, aniżeli jakakolwiek żywa służba, jaką kiedykolwiek znałem — wystarczy pocisnąć tylko odpowiedni guzik. Ale nie zaprzeczę — mówiąc między nami — że taka służba ma także i swoje ujemne strony.

— W istocie? — rzekł Angus. — Czy są rzeczy, których nie potrafi wykonać?

— Tak — odpowiedział Smythe oschle. — Nie potrafią powiedzieć, kto zostawił w moim domu te listy z pogrózkami.

Samochód był drobny i zwinny, jak jego pan i podobnie, jak służba domowa, był wynalazkiem swego pana. Jeżeli pan ten był szarlatanem, to był przynajmniej takim, który sam wierzy w swój towar.

Poczucie czegoś nikłego i ulotnego wzmagало się w miarę, jak mijali długie białe zakręty drogi w martwym, ale rozległym świetle wieczoru. Białe zakręty biegły wkrótce coraz ostrzej i zawrotniej. Znajdowały się na coraz to wyżej pnącej się spirali — jak się to powiada w modnych religjach. Był to bowiem zakątek Londynu, tak stromy nieomal,

jak Edynburg, tylko, że nie tak malowniczy. Taras wznosiła się ponad tarasem, a ponad niemi sięgając niemal wysokości egipskich piramid, górowała owa szczególna wieża domów, do której zmierzali, ozłocona blaskiem słońca zachodzącego na równym z nią poziomie. Kiedy skręcili na rogu i wjechali na wzgórze, znane pod nazwą Himalaya Mansions, obraz zmienił się tak nagle, jakgdyby za otwarciem okna. Zdawało się bowiem, że cały ten blok domów leży ponad Londynem, niby nad zielonem morzem dachów. Naprzeciw domów, po drugiej stronie żwirem wysypanej drogi, były zarośla zamknięte ogrodzeniem, żywopłot raczej, aniżeli ogród, a poza niemi, nieco niżej, płynęła sztuczna wstęga wody, coś w rodzaju kanału, niby fosa tej umajonej fortecy. Na spirali, okrążającej blok domów, minęło auto u jednego zakrętu stragan, przy którym przekupień sprzedawał kasztany, dalej zaś, na drugim końcu łuku, dostrzegł Angus niebieskawy mundur kroczącego wolno policjanta. Były to jedyne ludzkie kształty w tem wyżynnem, podmiejskiem pustkowiu, ale Angus doznał jakiegoś nieuzasadnionego poczucia, że one właśnie są wyrazem niemej poetyczności Londynu. Tknęło go coś, jakgdyby te postacie były postaciami z jakiegoś zdarzenia.

Mały wóz wpadł, jak kula, przed właściwy dom i jak bombę, wyrzucił z siebie właściciela. Smythe wybadał natychmiast wysokiego portjera w błyszczących galonach, oraz dozorcę, niskiego

człowieka bez surduta, czy nikt, albo nic nie zmie-
rzało do jego mieszkania. Zapewnili go, że nikt,
ani nic nie przeszło tego progu, od chwili, kiedy
ostatni raz o to pytał, poczem Smythe oraz zlekka
podniecony Angus śmignęli windą w górę, niby
rakietą, aż dotarli do najwyższego piętra.

— Niech pan wejdzie na chwilę — rzekł Smy-
the bez tchu. — Chciałbym tylko pokazać panu
owe listy Welkina, potem będzie pan mógł zaraz
skoczyć za róg, po swego przyjaciela.

Pocisnął guzik ukryty w murze, na co drzwi
same się otwarły.

Rozwarły się na długi, obszerny przedpokój,
w którym jedyna rzecz przykuwała odrazu wzrok
— szeregi wysokich, przez pół człowieczych figur
mechanicznych, które stały po obu stronach, niby
krawieckie manekiny. Jak manekiny krawieckie
były bezgłowe, jak manekiny krawieckie miały ła-
dną, a zbyteczną wypukłość w barkach i kulisto-
ści gołębiego biustu na klatce piersiowej. Ale po-
minawszy te szczegóły, nie były bardziej do ludz-
kich istot podobne, niż każdy inny automat na
dworcu, który ma mniej więcej wzrost człowieka.
Dwa długie haki w miejsce rąk, służyły do noszenia
tac. Pomalowane były na zielono, czerwono albo
czarno, aby je z łatwością odróżnić. Pozatem były
to poprostu zwyczajne automaty i więcej jak raz,
niktby na nie nie spojrział. Nikt też, przynajmniej
w tej chwili, tego nie uczynił. Albowiem pomiędzy
obiema rzędami tych domowych manekinów znaj-

dowało się coś, co było bardziej interesujące, aniżeli wszystkie mechanizmy całego świata. Był to biały, pomięty skrawek papieru, zabazgrany czerwonym atramentem. Ruchliwy wynalazca porwał go prawie w tej samej chwili, w której otwarły się drzwi. Bez słowa podał go Angusowi. Czerwony atrament jeszcze nie był wysechł. Treść była następująca: „Jeżeliś ją dziś odwiedził — zostaniesz zabity“.

Nastąpiło krótkie milczenie, a potem Izydor Smythe rzekł spokojnie:

— Pozwól pan trochę whisky? Czuję, że muszę się napić.

— Dziękuję panu. Wolałbym trochę Flambeau'a — rzekł ponuro Angus. — Sprawa wydaje mi się dosyć poważna. Lecę po niego natychmiast.

— Pan ma rację — odrzekł tamten ze zdumiewającym humorem. — Przyrowadź go pan tutaj tak szybko, jak pan tylko zdoła.

Ale kiedy Angus przymykał za sobą drzwi, ujrzał, jak Smythe przycisnął znowu jakiś guzik i jak jedna z mechanicznych postaci ruszyła ze swego miejsca i sunęła wzdłuż szczeliny w podłodze, niosąc na tacy syfon i karafkę. Zrobiło mu się nieswojo na myśl, że za nim pozostał ten mały człowieczek, otoczony martwą służbą, która powraca do życia z chwilą, kiedy zamykają się drzwi.

Sześć stopni poniżej piętra, na którym mieszkał Smythe, stał z wiadrem człowiek bez surduta, zajęty jakąś robotą. Angus przystanął, aby ode-

brać przyrzeczenie, poparte perspektywą napiwku, iż dozorca pozostanie w tem miejscu aż do jego powrotu z detektywem, oraz, że baczno okiem będzie śledził każdego obcego, który będzie tędy przechodził. Zbiegnąwszy pędem na dół, do frontowego hallu, polecił tę samą czujność portjerowi u frontowych drzwi, od którego dowiedział się też o tej upraszczającej okoliczności, że dom nie posiada tylnych drzwi. Nie zadowolając się tem, złapał spacerującego policjanta i skłonił go, aby stanął naprzeciw bramy i oka z niej nie spuszczał. Wreszcie zatrzymał się przy straganie, aby za parę groszy kupić kasztanów i wy badać straganiarza, jak długo zamierza jeszcze tam przesiedzieć.

Kasztaniarz, nastawiając kołnierz płaszcza, oświadczył, że prawdopodobnie będzie się wnet musiał zabrać, ponieważ zanosi się na śnieżyce. Wieczór w istocie robił się szary i ponury, aliści Angus, przy pomocy całej swojej wymowy, zdołał przygwoździć kasztaniarza do jego stanowiska.

— Grzejcie się własnymi kasztanami — rzekł poważnie. — (Możecie zjeść swój cały zapas. Ja już tak zrobię, aby się to wam opłaciło. Dostaniecie suwerena, jeżeli poczekać tutaj, aż do mojego powrotu i powiecie mi potem, czy ktokolwiek, mężczyzna, kobieta, czy dziecko, wchodził do tego domu — tam, gdzie stoi ten portjer.

Potem ruszył elastycznym krokiem naprzód, rzuciwszy ostatnie spojrzenie w stronę obłożonej wieży.

— Na wszelki wypadek osaczyłem ten pokój ze wszystkich stron — rzekł. — Wszyscy czterej nie mogą być chyba współnikami Welkina.

Lucknow Mansions znajdowały się, aby tak powiedzieć, na niższej platformie owego wzgórza domów, za którego wierzchołek mogły uchodzić Himalaya Mansions. Półurzędowe mieszkanie pana Flambeau znajdowało się na parterze i stanowiło pod każdym względem silny kontrast z amerykańską maszyną i zimnym hotelowym luksusem mieszkania „Niemej Służby“. Flambeau, który był przyjacielem Angusa, przyjął go w swoim artystycznym, rokokowym gabinecie, położonym z tyłu, za biurkiem. Ozdoby tego pokoju stanowiły pałasze, arkebuz, osobliwości wschodnie, flaszki włoskiego wina, egzotyczne naczynia kuchenne, puszysty perski kot, oraz drobny ksiądz rzymskokatolicki, który wyglądał, jakby przyprószony, i dziwnie odbijał od całego tła.

— Ojciec Brown, mój przyjaciel — rzekł Flambeau. — Nieraz już chciałem zapoznać cię z nim. Pyszna pogoda dziś, nieprawdaż? Dla Południowca, tak jak ja, trochę za zimno.

— Tak, zdaje się, że będzie pogoda — rzekł Angus, siadając na wschodnim tapczanie w fioletowe pasy.

— Nie — rzekł spokojnie ksiądz. — Właśnie zaczął padać śnieg.

W istocie, kiedy to mówił, pierwsze płatki śnie-

gu, tak jak to powiedział kasztaniarz, zaczęły po-
latywać w ciemniejącej głębi okna.

— Owóz — rzekł Angus ciężko — mam wrażenie, że przyniosłem ci pewną sprawę, i to sprawę dosyć sensacyjną. Rzecz ma się tak, Flambeau, że tuż opodal twego domu mieszka człowiek, który natychmiast potrzebuje twojej pomocy. Od dłuższego czasu prześladowuje go ustawicznie i zagraża mu jakiś niewidzialny nieprzyjaciel, łotr, którego nikt dotąd nie widział.

W miarę, jak Angus jął opisywać całą historję Smythe'a i Welkina, zaczynając od historii Laury, a kończąc na swojej własnej, a potem wspomniął o niesamowitym śmiechu u zbiegu dwóch pustych ulic, o słowach, które słyszano najwyraźniej w pustym pokoju, ożywienie Flambeau'a rosło z każdą minutą, podczas, gdy mały ksiądz zdawał się być poza obrębem całej tej sprawy — niby jeden z pokojowych sprzętów. Kiedy doszło do zapisanego paska papieru naklejonego na oknie, Flambeau zerwał się z krzesła, wypełniając nieomal cały pokój swojemi olbrzymiemi barami.

— Jeżeli nie masz nic przeciw temu — rzekł, — myślę, że lepiej będzie, skoro mi dokończysz opowiadania na drodze do domu tego człowieka. Mam jakieś przeczucie, że niema tu wiele czasu do stracenia.

— Z rozkoszą, — rzekł Angus, wstając również. — Chociaż chwilowo jest on dostatecznie za-

bezpieczony, — postawiłem czterech ludzi na straży przed jedynym wejściem do jego kryjówki.

Wyszli na ulicę, a za nimi z potulnością małego pieska potoczył się mały księżulek. Zauważył tylko wesoło, jakgdyby chcąc nawiązać rozmowę, że śnieg coraz grubszą warstwą pokrywa ziemię.

Kiedy przechodzili stronami, bocznymi uliczkami, przyprószonemi już dookoła srebrem, Angus dokończył opowiadania, tak że kiedy wstąpili na ów łuk, na którym piętrzyły się domy, mógł już skierować uwagę na swoją poczwórną straż. Kasztaniarz, przed i po otrzymaniu suwerena, zaklinał się stanowczo, że pilnował bramy i nie widział nikogo, któryby do niej wchodził. Policjant był jeszcze bardziej gorliwy. Mówił, że dość ma doświadczenia z oszustami wszelkiego rodzaju, w cylindrach, czy w łachmanach i nie taki z niego fryc, aby się doszukiwał podejrzanych indywiduów w byle podejrzanym wyglądzie. Wypatrywał każdegokolwiek, ale, Bóg mu świadkiem, że nikogo tam nie było. A kiedy wszyscy trzej stanęli przed wyzłacanym portjerem, który ciągle jeszcze z uśmiechem kręcił się przed bramą, rzecz została ostatecznie stwierdzona.

— Mam prawo pytać każdego człowieka, księcia, czy gałganiarza, po co wchodzi do tego domu — rzekł jowialny olbrzym w złotych bortach — i gotów jestem przysiąc, że nie potrzebowałem pytać nikogo, od chwili, kiedy ten dżentelmen się stąd oddalił.

Niepokażny Ojciec Brown, który stał w tyle i patrzył skromnie wdół, na chodnik, ośmielił się zapytać łagodnie:

— A zatem nikt nie szedł schodami w górę, ani wdół, odkąd śnieg zaczął padać? Zaczął padać wtedy, kiedyśmy wszyscy razem byli u Flambeau'a.

— Nie było tu nikogo, panie, ja za to ręczę — odpowiedział portjer w pełni promieniejącego aurytety.

— W takim razie dziwi mnie — co to jest? — rzekł ksiądz i spojrzał na ziemię martwym wzrokiem, niby ryba.

Tamci spojrzeli za nim wdół. Flambeau wydał dziki okrzyk, poparty żywym gestem. Nie ulegało bowiem żadnej wątpliwości, że w dole, w samym środku bramy, strzeżonej przez człowieka w złotyach bortach, akurat pomiędzy aroganckimi, wyprężonemi nogami tego olbrzyma, biegły sznurkiem paciorków szare ślady kroków, wytłoczone na białym śniegu.

— Boże! — krzyknął Angus mimowoli. — Nie widzialny człowiek!

Bez żadnych dalszych słów, odwrócił się i poгнаł w górę schodami, za nim Flambeau. Aliści Ojciec Brown ciągle jeszcze rozglądał się dookoła po śniegiem wybielonej ulicy, jakgdyby stracił już wszelkie zainteresowanie do owego śledztwa.

Flambeau miał największą ochotę wysadzić drzwi swojemi potężnemi barkami, ale Szkot, ma-

jąc więcej rozumu, chociaż mniej intuicji, zaczął obmacywać framugę drzwi, dopóki nie znalazł ukrytego guzika. Wtedy drzwi z wolna się rozwarły.

Na pierwszy rzut oka okazało się to samo, rzędamy biegnące wewnątrz. W przedpokoju było już prawie ciemno, chociaż tu i ówdzie mieniły się ostatnie karmazynowe smugi zachodzącego słońca. Ta czy owa bezgłowa maszyna opuściła swoje miejsce dla takiej, czy owakiej posługi. Stały teraz tam i sam w półmroku. Zielone i czerwone barwy ich uniformów pociemniały w mroku, a ich podobieństwo do kształtów ludzkich rosło z wolna przez zanikanie konturów. Ale w pośrodku tego wszystkiego, dokładnie w tem samym miejscu, gdzie leżał papier, zapisany czerwonym atramentem, leżało coś, co wyglądało, jak czerwony atrament rozlany ze swej butelki. Ale nie był to atrament czerwony.

Z iście francuskim skojarzeniem rozsądku i porywczosci, Flambeau krzyknął poprostu „Morderstwo!” i dając nurka w mieszkanie, w przeciągu pięciu minut zbadał każdy sprzęt i kąt. Ale jeżeli myślał, że znajdzie trupa, to się grubo omylił. Izidor Smythe poprostu nie był w tem miejscu—żywy, ani umarły.

Po najzmudniejszych poszukiwaniach obaj mężczyźni zeszli się znowu w przedpokoju. I wazę ich złane były potem, oczy miały wyraz martwoty.

— Przyjacielu — rzekł Flambeau, odzywając się w przystępie podniecenia po francusku. — i on twój morderca nie tylko sam jest niewidzialny, ale także i zamordowanego czyni niewidzialnym!

Angus rozejrzył się dokoła po mrocznym pokoju, pełnym manekinów, i dreszcz zbudził się w jakimś celtyckim zakamarku jego szkockiej duszy. Jedna z owych nawpół żywych lalek stała bezpośrednio ponad plamą krwi, rzucając na nią swój cień, wezwana może przez zabitego człowieka, na chwilę przed jego zgonem. Jeden z haków, wysoko w barkach osadzonych, który spełniał funkcje ramienia, był nieco uniesiony i nagle Angus doznał strasznego wrażenia, że biednego Smythe'a zabiło własne żelazne dziecko. Coś się w nich zbuntowało — i maszyny zabiły swego mistrza. Ale gdyby nawet i tak — gdzieżby go podziały?

— Zjadły go? — szepnęła mu w ucho jakaś zmora okropna i przez chwilę słabo mu się zrobiło na myśl o poszarpanych ludzkich szczątkach, pochłoniętych i zmiażdżonych wewnątrz tych wszystkich mechanicznych bezgłowów.

Wyteżonym wysiłkiem przywrócił sobie równowagę umysłu i rzekł do Flambeau'a:

— Otóż tak, ten biedak ulotnił się jak mgła i zostawił po sobie tylko tę czerwoną plamę. Ta historia nie należy do tego świata.

— Pozostaje mi jedna rzecz do zrobienia — rzekł Flambeau — bez względu na to, czy chodzi

o ten świat, czy inny. Muszę zejść nadół i pomóc z moim przyjacielem.

Minąwszy człowieka z wiadrem, który ponownie zapewnił ich, że nie przepuścił tędy żadnego intruza, zeszli w dół, do portjera i kasztaniarza, który kręcił się jeszcze na dole i nieustępliwie zapewniał ich o swej czujności. Ale kiedy Angus rozejrzał się dokoła za swoim czwartym świadkiem, nie dostrzegł go. Z pewnem zdenerwowaniem spytał:

— Gdzie jest policjant?

— Bardzo pana przepraszam — rzekł Ojciec Brown. — To z mojej winy. Posłałem go właśnie wdół ulicy, aby coś zbadał — coś, co mojem zdaniem, jest doprawdy warte zbadania.

— Dobrze, obyśmy go tylko jak najprędzej mieli z powrotem — rzekł Angus raptownie. — Bo ten nieszczęśnik nagórze nietylko został zamordowany, ale przepadł bez śladu.

— Jakto? — zapytał ksiądz.

— Ojciec — rzekł Flambeau. — Na moją duszę, zdaje mi się, że ta sprawa jest raczej z twojego departamentu, niż z mojego. Ni przyjaciel, ni wróg nie wchodził do tego domu, ale Smythe zniknął, jakgdyby go porwały czarownice! Jeżeli to nie jest jaka nadprzyrodzona sprawa, to ja —

Ledwie to powiedział, targnął nimi niezwykle widok. Ogromny, niebieski policjant wypadł pędem z za węgła ulicy — wprost na Browna.

— Pan miał rację — wydyszał. — Znaleźli właśnie ciało biednego pana Smythe'a — tam w kanale, na dole.

Angus chwycił się dziko za głowę.

— Czyżby on sam zbiegł na dół i utopił się? — spytał.

— Przysiąc mogę, że ani nie zbiegł nadół — rzekł policjant, — ani się nie utopił, ponieważ zginął od głębokiego ciosu w serce.

— A jednak twierdzi pan, że nikt tu nie wszedł? — rzekł Flambeau poważnie.

— Pójdźmy trochę wdół ulicy — rzekł ksiądz
Kiedy dotarli do drugiego końca owego łuku, zauważył raptownie:

— A to ze mnie głupiec! Zapomniałem zapytać o coś policjanta. Ciekaw jestem, czy nie znaleziono lekkiego, brązowego worka.

— Dlaczegoż właśnie lekkiego i brązowego worka? — spytał Angus zdziwiony.

— Bo gdyby to był worek innego koloru, musielibyśmy śledztwo rozpocząć na nowo — odrzekł Brown. — Ale jeżeli worek był lekki i brązowy, w takim razie sprawa jest ukończona.

— Cieszę się, że mogę to usłyszeć — rzekł Angus z serdeczną ironją. — O ile mi wiadomo, sprawa jeszcze się nie zaczęła.

— Musisz nam to wszystko opowiedzieć — rzekł Flambeau z ociężałą, niezaradną prostotą, niby dziecko.

Niepostrzeżenie przyspieszyli kroku i poszli

wdół długiej ulicy, na drugą stronę stromego łuku. Ojciec Brown szedł przodem, rześko, choć w milczeniu. Odezwał się wreszcie ze wstrząsającej niemal odległości od tematu:

— Tak jest. Obawiam się, że się to wam wyda nazbyt prozaiczne. My zaczynamy zawsze od tego drugiego, niezależnego od szczegółów końca wszystkich rzeczy, a w tym wypadku nie można zacząć skądinąd.

Czy nie zauważyliście już nieraz, że ludzie nigdy nie odpowiadają na to, o co pytacie? Odpowiadają na to, co macie na myśli — albo na to, o co się wam, wedle ich mniemania, rozchodzi. Przypuśćmy, że jakaś dama pyta drugą, która przebywa na wsi: „Czy jest teraz ktoś u państwa?“ Tamta nie odpowie: „Tak, kamerdyner, trzech lokajów, pokojówka i t. d.“, choćby nawet pokojówka znajdowała się w tym samym pokoju, albo kamerdyner za krzesłem. Odpowie: „Niema u nas nikogo“ — mając na myśli nikogo z tego pokroju ludzi, których wy macie na myśli. Ale przypuśćmy, że pyta lekarz, podczas epidemji: „Kto jest u państwa w domu?“ — wtedy wyliczy lokajów, pokojówkę i całą resztę. Wszystkich form porozumienia używa się podobnie. Odpowiedź na pytanie nigdy nie jest dosłowna, nawet wtedy, kiedy się powiada prawdę. Kiedy owi czterej najuczciwsi w świecie ludzie zeznali, że nikt nie wchodził do domu, nie myśleli przez to naprawdę, że żaden człowiek tam nie wszedł. Myśleli, że nikt taki, ko-

goby mogli podejrzewać, że jest tym, o którego wam chodzi. Był ktoś, kto wszedł do domu i z niego wyszedł, ale oni go nie zauważyli.

— Człowiek niewidzialny? — zapytał Angus, marszcząc rude brwi.

— Człowiek niedostrzegalny — rzekł Ojciec Brown.

Po chwili ciągnął dalej tym samym obojętnym głosem, jak człowiek, który zmierza za swoją myślą:

— Oczywiście, taki człowiek nie przychodzi na myśl, dopóki się samemu o nim nie pomyśli. W tem był właśnie cały jego spryt. Ale ja pomyślałem o nim, dzięki dwom, czy trzem drobnym szczegółom, o których pan Angus wspomniał w swoim opowiadaniu: po pierwsze była mowa o tem, że ten Welkin odbywa długie spacery. A potem bywa tam moc papieru do naklejania, w tem oknie. A wkońcu, poza wszystkim, te dwa szczegóły, o których mówiła owa młoda dama — a które nie mogą być prawdziwe. Niemożliwe jest, aby ktoś znajdował się zupełnie sam na ulicy, sekundę zanim otrzymuje list. I nie może być całkiem sam na ulicy, w chwili, kiedy jest zatopiony w czytaniu listu dopiero co otrzymanego. Ktoś musi się znajdować opodal i musi być dla świadomości niewidzialny.

— Dlaczego musi być opodal? — zapytał Angus.

— Ponieważ, — rzekł Ojciec Brown — wyklu-

czywszy pocztę gołębią, ktoś musiał list przynieść.

— Czy ty naprawdę chcesz przez to powieźć, — spytał energicznie Flambeau — że Welkin zanosił listy swego rywala do jego pani?

— Tak — odrzekł ksiądz — Welkin zanosił listy swego rywala do jego pani. Widzisz, mój drogi — niewątpliwie musiał je przynosić.

— O, dłużej tego nie wytrzymam! wybuchnął Flambeau. — Kto jest ten człowiek? Jakżeż on wygląda? Jakiż jest zwyczajny wygląd człowieka niewidzialnego dla świadomości?

— Ubrany jest raczej ładnie — w czerwone, niebieskie i żółte kolory — odparł z miejsca ksiądz z precyzją. — I w tym jaskrawym, ba — nawet rzucającym się w oczy kostjumie wszedł do Himalaya Mansions na widoku ośmiu ludzkich oczu, z zimną krwią zabił Smythe'a i zeszedł w dół, na ulicę, niosąc zwłoki na ręku...

— Wielebny księżu! — krzyknął Angus, przystając. — Czy pan zwarjował, czy ja?

— Pan nie zwarjował, — rzekł Brown — tylko niebardzo umie pan patrzeć. Nie zauważył pan człowieka takiego, jak — na przykład — ten.

Postąpił szybko trzy kroki naprzód i położył rękę na ramieniu zwyczajnego listonosza, który przeszedł obok nich niepostrzeżenie w cieniu drzew.

— Nikt jakoś nie dostrzega listonosza — rzekł w zamyśleniu. — A jednak mają oni namiętności,

tak, jak inni ludzie i noszą nawet duże worki, w które całkiem łatwo wpakować można drobne zwłoki.

Listonosz, zamiast obejrzeć się całkiem naturalnie, skulił się i rzucił się ku sztachetom ogrodu. Był to chudy człowiek z jasną bródką, o twarzy powszedniej, ale kiedy z za ramienia wyjrzała jego przerażona twarz, wszyscy trzej mężczyźni zostali objęci upiornym nieomal zezem.

Flambeau wrócił do swoich pałazy, purpurowych dywanów i perskiego kota, miał bowiem wiele do roboty. John Turnbull Angus powrócił do damy w sklepie, w której towarzystwie czuje się ten nieroztropny młodzieniec wyśmienicie. Ale Ojciec Brown przechadzał się przez wiele godzin po śniegiem pokrytych wzgórzach, pod gwiazdami, z mordercą. A o czym ze sobą mówili — to nigdy nie będzie wiadome.

Biblioteka UJK Kielce

UJK



0480081